Akademia Lekarska w Gdańsku
Zakład Historii i Filozofii
Medycyny

I. 52

65939

Bibl.

Z f. 50
26/62

PISMA PLATONA

PLATONA

EUTYFRON
OBRONA SOKRATESA
KRITON

PRZEŁOŻYŁ, WSTĘPEM, OBJAŚNIENIAMI I ILUSTRACJAMI OPATRZYŁ WŁADYSŁAW WITWICKI



LWÓW — WARSZAWA
KSIĄŻNICA POLSKA T-WA NAUCZ. SZKÓŁ WYŻSZYCH
MCMXX

Akademia Lekarska w Gdansku
Zakład Historii i Filozofii
Medycyny
I. 52

65939

Bibl. Akad. Med.
Gdańsk

DZIEŁA TEGO ODBITO STO NUMEROWANYCH EGZEMPLARZY NA CZERPANYM JAPOŃSKIM PAPIERZE. CAŁOŚĆ WYKONANO W ZAKŁADZIE DRUKARSKIM GRAFIA, LWÓW, CHORĄŻCZYZNY 27. KLISZE WEDLE RYSUNKÓW WŁAD. WITWICKIEGO WYKONAŁ ZAKŁAD REPRODUKCYJNY UNIA WE LWOWIE. ZNAK KSIĄŻNICY POL. WYKONAŁ W. SKOCZYLAS

217452
1998 D.87/32

EUTYFRON

WSTĘP

Na Keramejku, w środku miasta, w Portyku Króla urzędował t. zw. Archon Król, drugi z dziewięciu archontów ateńskich, któremu po dawno zniesionej władzy królewskiej pozostał tytuł i referat nabożeństw i przestępstw religijnych. On urządzał mysterja w Eleuzis, kierował obchodami na cześć Djonyzosa, do niego wpływały skargi o bezbożność; czyto o zbieranie chrustu szło w świętym gaju Apollina, czy też o herezję i psucie młodzieży, on przeprowadzał śledztwo wstępne i przewodniczył w procesie, o ile do procesu doszło. ARCHON KRÓL

Nie dochodziło bowiem do rozprawy, jeżeli się oskarżyciel z oskarżonym pogodził przed wejściem na salę sądową. W tym celu mogła jedna ze stron wezwać drugą na t. zw. konferencję wstępną, czy porozumiewawczą, na którą można było i świadków przyprowadzić i na niej, bywało, umarzano sprawę na sposób ugodowy. KONFERENCJA

Jeżeli ktoś nie ufał własnemu poczuciu prawa religijnego, lub nie miał zaufania do wiedzy teologicznej przeciwnika, a prawo to nie było nigdzie

jasno skodyfikowane, mógł zasięgnąć zdania urzędowych wykładaczy przepisów religijnych, trzech t. zw. egzegetów, czyli radców wyznaniowych, których biuro dla każdego zawsze stało otworem.

RADCY

Pokątny poeta Meletos, politykujący rzemieślnik Anytos i mowca Lykon wnieśli na Sokratesa pisemne oskarżenie o zbrodnię przeciw religji państwowej. Oskarżyciele zaprzysięgli winę filozofa i powołali zapewne świadków na jej stwierdzenie.

Sokrates musiał się teraz stawić na pierwszą audjencję u Archonta Króla i podjąć kroki w swej obronie. Proces należał do najniebezpieczniejszych; nie szło o sprawę prywatną, tylko o zbrodnię przeciw państwu. W razie przegranej groziła śmierć.

PROCES PAŃSTWOWY

Filozof zmienił tryb życia. Po kąpieli rannej zwykł był codzień bywać w instytutach gimnastycznych, gdzie się młodzież ćwiczyła i tam spędzała czas na dysputach ze swoimi i obcymi. Częstym gościem bywał w podmiejskim okręgu Apollona Lykejosa, w szkole gimnastycznej z ogrodem, zwanej Lykejon, gdzie później wykładał Arystoteles.

Być może, i dziś tam był jeszcze i rozmawiał z Teajtetem i towarzyszami o istocie wiedzy, jeśli wierzyć djalogowi Platona pod tym tytułem; w Teajtecie żegna się przy końcu Sokrates z towarzystwem i odchodzi zgłosić się na audjencję u Archonta Króla w sprawie swego procesu.

Pod słupami portyku stoją i rozmawiają ludzie, którzy tu skarżyć przyszli, albo odpierać skargi. Sokrates z nikim się w życiu nie procesował — obecność jego na tym placu i w tem miejscu zwraca

KIM JEST EUTYFRON

uwagę. Z nienacka wita go słodko uprzejmy głos komicznej figury. Wieszczek Eutyfron z gminy Prospalta pyta go, co słychać, co tu robi, jaki interes go tutaj sprowadza.

Widać, znał już Sokratesa, jak znały go całe Ateny. Widać z jego pierwszych i dalszych słów, co to za człowiek i dlaczego on tu właśnie występuje na tytule i w treści djalogu; widać, jaki stosunek łączy go z Sokratesem.

Osoba duchowna. Żyje z tego, że zagląda we wnętrzności bydląt ofiarnych, patrzy jak wrony latają i jak się pali płomień ofiarny i wedle tradycyjnych przepisów swej „sztuki", przepowiada stąd ludziom przyszłość. Bóg w nim jakoby ma mieszkać, który mu przyszłość odsłania i drugim ją za niewielką opłatą objawiać pozwala.

Eutyfron wierzy w swe przepowiednie więcej, niż ci, którym wróży. Skarży się, że go ludzie mają za niespełna rozumu, mimo, że mu się dotąd wszystkie przepowiednie spełniły.

Wieszczek stara się być wyższym ponad tłum, który go wyśmiewa, sam sobie w domu poklasku nie szczędzi, jakby powiedział Horacy. Uważa się za głęboko wykształconego teologa, specjalistę od wszystkich rzeczy boskich. Olimp i służba niebianom nie mają dla niego tajemnic. On najlepiej wie, co zbożne, a co nie, jest niejako urzędnikiem i fachowcem w tych sprawach.

Jest tak naiwny, że legendy i przypowieści o bogach, które każdy inteligentniejszy Grek współczesny traktował jako literaturę fantastyczną, on bierze do-

słownie, jak dogmaty. Jest tak tępy, że nie widzi zupełnie trudności i nonsensów, do którychby go jego urzędowa wiara doprowadzać musiała, gdyby był myślał kiedykolwiek.

Jest tak gruby, sprośny i wyzuty z n a t u r a l n e g o nieurzędowego poczucia tego, co się godzi, a co nie, że ojca własnego przed sąd ciągnie, byle się nie „splamić" przebywaniem pod jednym dachem ze staruszkiem, na którym ciąży wątpliwa wina.

Eutyfron ze swym fanatyzmem religijnym, opartym na ciemnocie, jest nie tylko pewnem indywiduum, jest równocześnie przedstawicielem religijnych poglądów i etycznego poziomu tych szerokich kół, z których wyszła skarga na Sokratesa, a później wyrok śmierci za bezbożność. I w nim i w nich wszystkich razem przesąd religijny wyrastał na tle bezmyślności i braku krytycyzmu, a urzędowa religja obrzędów i ceremonij zabiła naturalne, zwierzęce, czy ludzkie poczucie tego, co się godzi i nie godzi.

CEL DJALOGU PIERWSZY

Na jaskrawym przykładzie postaci Eutyfrona przeciwstawia Platon pobożność szerokich kół: tę urzędową, panującą, tępą, na przesądach opartą, pobożności Sokratesa, opartej na rozumie i dobrem sercu, które o literę prawa nie pyta.

Wydając ten djalog powiedział Platon Ateńczykom: „Patrzcie: tak wygląda wasz urzędowy stosunek z bogami. Eutyfronów u was wielu. Oni was prowadzą i uczą wasze dzieci. Tacy ich uczniowie skazywali na śmierć filozofa, który i poczuciem dobra górował nad wami i bliski był prawdziwej wiedzy o tem, co zbożne i niezbożne".

Obrona Sokratesa, pokazanie jego stosunku do tego, co zbożne, na tle poglądów i poczuć przedstawiciela obozu przeciwnego, to pierwszy cel djalogu. Ale jest i drugi.

Wiedzę prawdziwą posiada, zdaniem Platona, ten tylko, kto posiada uogólnienie, ujmujące istotę rzeczy, a wyrażające się w dobrej definicji. Dojść a przynajmniej zbliżyć się do definicji zbożności, to drugi cel djalogu. DRUGI CEL

Platon usiłuje pobudzić do myślenia nad tym tematem, wskazuje drogę do trafnego określenia, poddaje krótkiej a jadowitej krytyce popularne pojęcia, które w tej sprawie obiegają w szerokich kołach.

Wierzy, że zgłębienie a przynajmniej rozstrząśnięcie tej sprawy uchronić może Ateny od wielu tak fałszywych, niemądrych i złych kroków, jak np. skazywanie na śmierć najniewinniejszych przedstawicieli nauki i kierowników ruchu umysłowego, takiego Protagorasa, lub Sokratesa, może podnieść na wyższy poziom etyczny życie publiczne i prywatne miasta, w którem myślący człowiek nie był pewny jutra. Każdego dnia mógł go sąsiad niechętny o bezbożność zaskarżyć i wynik procesu wisiał na włosku. Liczny cech szantażystów, zwanych sykofantami, utrzymywał się przecież z łapówek, któremi się ludzie okupywali od ich fałszywych, z palca wyssanych oskarżeń.

Więc obudzenie myśli religijnej, pobudzenie do krytyki pojęć etycznych, celem podniesienia poziomu etycznego Aten, ostatni cel naszego djalogu. To wyraźnie mówią ostatnie słowa Sokratesa, które za CEL OSTATECZNY

uciekającym z placu Eutyfronem w powietrze rzuca, jeśli ich cel i sens czytać pomiędzy wierszami.

Warto czytając tę książkę z przed dwóch tysięcy lat, próbować myślą się od niej w dzisiejsze czasy przenosić i czytać, czy u nas dziś inaczej i o ile. W niektórych miejscach djalog platoński nie stracił i dziś na aktualności.

DWAJ „DUCHOWNI"

Postać Eutyfrona stanowi interesujący kontrast do postaci Sokratesa. Obaj mają szereg cech wspólnych obok znamion indywidualnych. Jeden i drugi jest niby przybytkiem bóstwa, osobą duchowną w swoim rodzaju. Sokrates nieraz sam mówił o tem, że w sobie boski głos słyszy, Platon go często przedstawia jako istotę, w którą bóg wstępuje i mówi przez jej usta, Eutyfron to znowu urzędowe naczynie duchowne, które z tego głosu bożego żyje, jak umie.

Sokrates jest postacią z wyglądu i pozoru komiczną; dla tych szczególniej, którzy go nie znają bliżej; Eutyfrona również tłum obśmiewa, ale komizm jego postaci rośnie przy bliższem poznaniu.

Sokrates chętnie sam zwiększa komizm swej postaci: udaje głupiego, szuka poniżenia, a góruje nad otoczeniem mimowoli. Eutyfron odruchami samochwalstwa osłania się przed mimowolnym komizmem, w jaki coraz głębiej, w miarę djalogu, popada.

Te ich cechy decydują o ich wzajemnym stosunku. Eutyfron wita Sokratesa z zainteresowaniem

PRZEBIEG WALKI

plotkarskiem, a nie życzliwem i usłużnem, bo o swoim procesie gada cały czas, podczas gdy sprawę drugiego tak bardzo ważną zbył kilkoma frazesami protekcjonalnej grzeczności.

Z miejsca zaczyna Sokratesa klepać po ramieniu z wysokości swego urzędowego „natchnienia“, raczy go na równi z sobą stawiać, raczy go nawet za cenny w państwie element uważać, niby siebie samego. Nie szczędzi mu też rad przyjacielskich, o które go nikt nie prosił i nie odmawia nadziei, że jakoś to będzie, jeżeli tylko Sokrates będzie mądry.

Sokrates, swoim zwyczajem, udaje nieudolnego a żądnego nauki ze strony zarozumiałego wieszczka. Wie doskonale, że z próżnego nie naleje, chodzi mu więc tylko o jedno z dwojga: albo o kompromitację przeciwnika w tych zapasach intelektualnych, albo o wydobycie z niego szczerej żądzy wiedzy, która się od przyznania własnej niewiedzy zaczyna.

Filozof nasz pytaniami kieruje dyskusją dowoli, szeregiem pytań i zwrotów, szybko a nieznośnie sformułowanych wprowadza przeciwnika w matnię taką, że wieszczek zupełnie baranieje, traci wątek i nie wie już ani, czego chce Sokrates, ani, czego sam chciał właściwie.

Przejmuje też najnaiwniej w świecie poddane mu myśli za swoje, daje się wieść do twierdzeń sprzecznych z poprzednio przyznanemi, objawia kompletną tępotę umysłową, a w końcu ucieka ze stanowiska, nie chcąc światła.

Zarozumiałość i głupota spędziły go z placu, na którym nikt go nie obraził. Gdyby był coś wart, byłby się umiał zdobyć na szlachetne słowo: „Nie wiem, jak to jest właściwie; naucz mnie, jeśli wiesz, albo szukajmy prawdy razem“. Eutyfron tego nie umie i stąd jego jaskrawy upadek przy końcu djalogu.

Tych kilka słów wystarczy, żeby Eutyfrona przeczytać ze zrozumieniem. Gdzieby tekst nastręczał trudności lub sposobność do uwag, tam komentarz, umieszczony po tekście, stara się tok myśli i podział dzieła objaśnić i rozwinąć.

JAK CZYTAĆ PLATONA

Jedna tylko jeszcze ważna uwaga dotyczy samej czynności czytania pism Platona. Język djalogu ma koloryt mowy potocznej a nie płynnej rozprawy literackiej. W przekładzie polskim starał się tłumacz zachować te cechy stylu, które stanowią potoczność języka. Więc trzeba się z góry przygotować na niespodzianą i niemożliwą nieraz w płynnym języku literackim budowę okresów, powtarzania, zdania wtrącone, zmiany w budowie podjęte w toku dłuższych zdań, wyrazy pospolite a nie książkowe, krótkie odpowiedzi, które się inaczej kończą, niż się zaczęły i t. p.

W ustach Sokratesa zwroty nieraz „soczyste". Jednakże Sokrates sam w pierwszym rozdziale „Obrony" charakteryzuje swój sposób mówienia jako zgoła nieliteracki a pospolity. On przecież na sali sądowej stojąc, gdzie „piękny" styl był jednym ze środków obrony, powiada dosłownie: „...wy dopiero odemnie usłyszycie całą prawdę. Tylko serjo, na Dzeusa, obywatele; nie takie mowy przystrojone, jak te ich: zwrotami i wyrazami, ani ozdobione, ale usłyszycie proste słowa; wyrazy takie, jakie się nawinął... Przecieżby nawet nie wypadało, obywatele, żebym ja, w tym wieku, jak młodzik, mówki układać przed was przychodził. Ale, na prawdę, ja bardzo was, obywatele, o to proszę i błagam: jeżeli

usłyszycie, że ja się bronię takiemi samemi słowami, jakiemi zwykle mówię i na rynku, koło straganów, gdzie mnie niejeden z was słyszał i gdziebądź indziej, nie dziwcie się i nie róbcie hałasów..."

Dobitniejszej charakterystyki swego stylu nie mógł dać. Język jego w realistycznych ustępach djalogów jest doskonałem odbiciem codziennej, pospolitej, żywej mowy z całym jej nieporządkiem i kolorytem.

Te cechy stylu wychodzą dopiero wtedy, kiedy ktoś, wiedząc o tem i licząc się z tem, głośno czyta a raczej mówi z naturalnemi, potocznemi akcentami i pauzami słowa tekstu. Jeśli je ktoś będzie cicho lub głośno czytał jak gazetę, albo Ojczenasz a choćby i tak, jak płynną rozprawę, cały koloryt języka zatraci, napotka niewytłumaczone zupełnie trudności i szorstkości stylowe i kląć zacznie tłumacza, jeśli nie autora. Ale na to niema rady. Pisane słowa djalogów platońskich są jak nuty wstępów muzycznych. Trzeba je grać żywem słowem; wtedy dopiero obcujemy z dziełem poety.

Przecież i sonaty bethovenowskie wyjdą fatalnie, jeśli je ktoś lada jak przebębni, byle prędzej.

Starożytni też nigdy nie czytywali Platona po cichu. On sam przeznaczał swe djalogi do głośnego mówienia. Przecież to był tragik i komedjopisarz w głębi duszy.

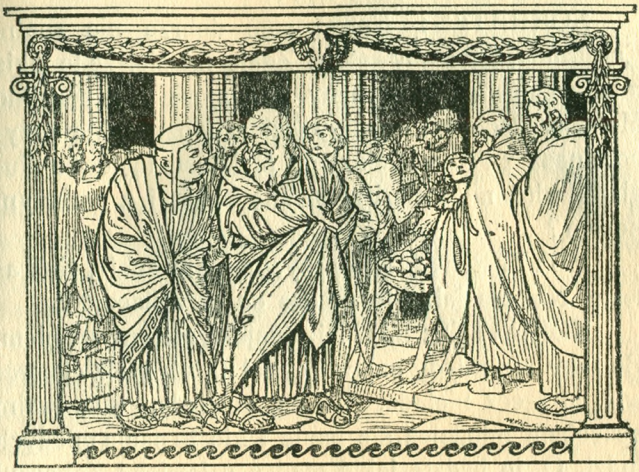
Pismo muzyczne ma więcej znaków określających wykonanie, niż ich posiada pismo książek. Piszący słowami ma tylko ubogą interpunkcję do

rozporządzenia. Dlatego też tłumaczenia Platona, jak Uczta, Fajdros i niniejsze trzy teksty mają obszerny komentarz na końcu. Jeśli się komu wyda za obszerny, niech zważyć zechce, że komentarz ten ma między innemi, zadanie podobne do scenarjusza: usiłuje nietylko objaśniać rzecz, ale podawać koloryt, ton i akcenty poszczególnych ustępów.

EUTYFRON CZYLI ROZMOWA O TEM, CO ZBOŻNE

OSOBY DJALOGU:

EUTYFRON
SOKRATES



EUTYFRON: A to co znowu, Sokratesie? Cóż to się stało, żeś porzucił rozprawy w Lykejonie, a tu się teraz kręcisz koło Portyku Króla? Chybaż przecie i ty nie masz sprawy u Króla, tak jak ja? I

SOKRATES: W Atenach Eutyfronie, to się nie nazywa sprawa, ale proces państwowy.

EUTYFRON: Co ty mówisz? Proces państwowy, ktoś ci widać wytoczył, bo nie przypuszczam, żebyś ty komu innemu.

SOKRATES: No, nie.

EUTYFRON: Więc tobie ktoś inny?

SOKRATES: Oczywiście.

EUTYFRON: Któż taki?

SOKRATES: Nawet sam dobrze nie znam, Eutyfronie, tego obywatela. Zdaje mi się, że to jakiś młody człowiek i nieznany, a nazywa się podobno Meletos. Pochodzi z gminy Pittos. Może sobie przypominasz z Pittos niejakiego Meletosa, takiego z długiemi włosami, z niezbyt piękną brodą i z garbatym nosem?

EUTYFRON: Nie przypominam sobie, Sokratesie. No, ale jakiż to proces on ci wytoczył?

SOKRATES: Jaki? Nieladajaki, mojem zdaniem. Bo żeby się młody człowiek znał na tak wielkiej sprawie, to rzecz nielada. Bo on, powiada, wie, jakim sposobem młodzież się psuje i kto to psuje młodych ludzi. O, to będzie jakiś mądry człowiek! Zobaczył moją głupotę, że to ja psuję jego rówieśników i idzie skarżyć na mnie, jak do matki — do władzy państwowej. Uważam, że jest jedynym politykiem, który zaczyna, jak należy. Bo należy przedewszystkiem dbać o młodzież, aby była jak najlepsza; tak, jak się dobry rolnik troszczy przedewszystkiem o młode roślinki, a potem dopiero o inne. Tak też i Meletos z pewnością naprzód nas chce wytępić do czysta, którzy młode latorośle psujemy, jak powiada. Potem, oczywista, jak się i starszymi zajmie, to dopiero położy około państwa rozliczne a niespożyte zasługi; łatwo się to może trafić, jeżeli ktoś od tego zaczyna.

II EUTYFRON: Pragnąłbym tego i ja, Sokratesie, ale ja drżę o to, żeby się nie stało wprost przeciwnie.

Po prostu, mam to wrażenie, że on od świętego ognia, od jądra i fundamentu zaczyna państwu szkodzić, kiedy na ciebie zbrodniczą rękę podnosi. A powiedzże mi, czem, jakiem postępowaniem, on powiada, ty psujesz młodzież?

SOKRATES: Głupia to rzecz, mężu osobliwy; człowiek nie wierzy, jak słyszy. Powiada, że ja jestem twórcą bogów i jako na takiego, który nowych bogów tworzy a starych nie uznaje, wniósł na mnie skargę za to właśnie, jak powiada.

EUTYFRON: Ja rozumiem, Sokratesie. Bo ty zawsze mówisz, że ci się ten boski głos odzywa. Więc on wnosi tę skargę niby o to, że ty rozszerzasz nowinki dotyczące tego, co boskie. Tak; on z tem oszczerstwem idzie do sądu a doskonale wie, że taka potwarz bardzo łatwo się przyjmuje w szerokich kołach.

Albo ja sam, proszę cię; kiedy coś mówię na zgromadzeniu o rzeczach boskich i przepowiadam, co będzie, toż i ze mnie się śmieją, jak z warjata. A przecież ja nic, tylko samą prawdę za każdym razem mówiłem, ilekroć przepowiadałem. Jednak takich ludzi jak my, zawsze nienawidzą i zazdroszczą im. Nie trzeba sobie z tego nic robić; śmiało iść naprzód.

SOKRATES: Kochany Eutyfronie! Jak się tam III
śmieją z człowieka, to może niewielka rzecz. Ateńczycy, wiesz, mam to wrażenie, nie bardzo się tem interesują, jeżeli kogoś mają za figurę nielada, byle tylko drugich swojej mądrości nie uczył. Jak widzą, że ktoś i drugich na swoją modłę urabia,

gniewają się; czy to przez zazdrość, jak ty mówisz, czy przez coś innego.

EUTYFRON: Co do tego, to jak oni się tam do mnie odnoszą, niebardzo mam ochotę doświadczać.

SOKRATES: No; może być, że ty, niby, mało się pokazujesz i uczyć nie chcesz swojej mądrości. A ja się boję, żeby mnie za takiego filantropa nie wzięli, który co tylko ma, wszystko przed każdym wysypuje i mówi nietylko zadarmo ale sambym jeszcze dopłacił, byle mnie tylko kto chciał słuchać. Więc, jak mówię, gdyby się tak mieli ze mnie śmiać, jak ty powiadasz, że ciebie wyśmiewają, to wcaleby miła rzecz była, tak sobie na figlach i na śmieszkach spędzać czas w sądzie; ale, jeśli rzecz wezmą poważnie, to wtedy już, jak sprawa wypadnie, tego nie wie jasno nikt, chyba tylko wy, wieszczkowie.

EUTYFRON: Ale, z pewnością, nic nie będzie, Sokratesie; przecież ty będziesz rozumnie stawał w procesie, a myślę, że i ja w swoim także.

IV SOKRATES: A ty, Eutyfronie, jakiż ty masz proces? Oskarżonyś, czy skarżysz?

EUTYFRON: Skarżę!

SOKRATES: Kogo?

EUTYFRON: Z tem oskarżeniem znowu wyglądam na warjata.

SOKRATES: A to co? Gonisz jakiegoś ptaszka na dachu?

EUTYFRON: Gdzie mu tam do latania, kiedy to właśnie bardzo stary człowiek.

SOKRATES: Któż taki?

EUTYFRON: Mój ojciec.

SOKRATES: Twój! Mężu zacny!

EUTYFRON: Oczywiście.

SOKRATES: Cóż za oskarżenie; o co proces?

EUTYFRON: O zabójstwo, Sokratesie.

SOKRATES: Herakles! Jakto, wiesz Eutyfronie, szerokie koła nie mają pojęcia o poprawnem postępowaniu. Uważam, że z takiego wypadku nie wybrnie w sposób poprawny ktoś pierwszy lepszy, tylko chyba ktoś, co daleko już zaszedł na drodze mądrości.

EUTYFRON: Daleko, żebyś wiedział Sokratesie, na Dzeusa!

SOKRATES: A to ktoś z krewnych zginął z ręki twego ojca? No, oczywiście; przecieżbyś tam o kogoś obcego, ojca o zabójstwo nie skarżył!

EUTYFRON: To śmieszne Sokratesie; więc myślisz, że to stanowi różnicę, czy nieboszczyk był obcy, czy krewny a nie tego tylko trzeba patrzeć, czy w swojem prawie był zabójca, czy nie i jeśli był w swojem prawie, to dać pokój a jeśli nie, to skarżyć, choćby zabójca z tobą u jednego ogniska siadał i przy jednym stole jadał. Przecież się taką samą zbrodnią plamisz, jeżelibyś świadomie z takim przystawał, a nie oczyścił siebie i jego przez wniesienie skargi do sądu.

A ten zabity pracował u mnie i kiedyśmy mieli gospodarstwo na Naksos, służył tam u nas. Otóż raz upił się, zgniewał się na kogoś z naszej służby i zabił go. Więc ojciec kazał mu związać nogi i ręce, wtrącić do jakiegoś rowu i posyła tutaj człowieka, żeby się dowiedział od radcy wyznaniowego, co



z nim zrobić. Tymczasem nie dbał o tego skrępowanego i nie troszczył się o niego, bo to zabójca; niby mniejsza o to, choćby tam i umarł. I tak się też stało. Ten z głodu, z zimna i z tego skrępowania umiera, zanim posłaniec od radcy powrócił. Otóż i o to się oburza teraz mój ojciec i cały dom, że ja dla tego mordercy skarżę ojca o zabójstwo, choć on nikogo nie zabił, jak oni powiadają, a wreszcie, jeżeli tam i zabił, to nieboszczyk był przecież zabójcą; więc nie trzeba się troszczyć o takiego. Bo niby to bezbożna rzecz, żeby syn ojca o zabójstwo skarżył. Źle się rozumieją, Sokratesie, na prawie bożem, na tem, co rzecz zbożna, a co bezbożność.

SOKRATES: A ty, na Dzeusa, Eutyfronie, ty myślisz, że tak się doskonale rozumiesz na prawie

bożem, jak to jest i na tem, co zbożne a co bezbożne, że, kiedy tu taki wypadek zaszedł, jak mówisz, nie boisz się procesu wytaczać ojcu, abyś znowu ty nie popełnił czasem czynu bezbożnego?

EUTYFRON: A cóżbym ja był wart, Sokratesie, toż inaczej niczemby się Eutyfron nie różnił od innych ludzi, gdybym się na wszystkich tego rodzaju rzeczach doskonale nie rozumiał.

SOKRATES: Eutyfronie osobliwy! Wiesz, dla V
mnie najlepiej będzie zostać twoim uczniem i nim się zacznie mój proces z Meletosem, właśnie w tej sprawie wezwać go na konferencję porozumiewawczą i powiedzieć, że ja już oddawna wysoko sobie ceniłem znajomość rzeczy boskich, a teraz, kiedy on powiada, że się występku dopuszczam, bo strzelam bąki i nowinki rozsiewam o rzeczach boskich, to ja zostałem uczniem twoim, i jeżeli, Meletosie — tak bym powiedział — zgadzasz sie, że Eutyfron jest mądry w takich rzeczach, to uwierz, że i moja wiara jest poprawna i nie skarż mnie. A jak nie, to z tamtym, z nauczycielem zaczynaj proces prędzej, niźli ze mną, bo on starszych psuje, niż ja: popsuł mnie i zmarnował własnego ojca; mnie nauką, a tamtego napomnieniami i karami.

A jakby mnie nie słuchał i nie chciał od procesu odstąpić, albo, zamiast mnie, skarżyłby ciebie, tobym to samo mówił w sądzie, co z nim na tej konferencji wstępnej.

EUTYFRON: Ej, dalibóg, Sokratesie; niechby on tak mnie spróbował zaskarżyć, już jabym mu tam

znalazł czułe miejsce i prędzejby o nim zaczęto w sądzie mówić, niż o mnie.

SOKRATES: Ja ci też, przyjacielu kochany, to uważam i dlatego uczniem pragnę zostać twoim; ja wiem, że ciebie to i inny niejeden i ten Meletos bodaj że nawet nie widzi, a mnie tak bystro i tak łatwo zobaczył, że mnie o bezbożność zaskarżył. Więc teraz proszę cię, na Dzeusa, powiedz mi to, coś teraz twierdził, że to tak jasno wiesz. Jak ty rozumiesz zbożność i bezbożność i w sprawie zabójstwa i w innych? Czy zbożność nie jest identyczna w każdym czynie; jedna i ta sama, a bezbożność to znowu całkowite przeciwieństwo zbożności i jest sama z sobą jednaka i wszystko cokolwiekby było bezbożnem ma, ze względu na bezbożność, jedną jakąś istotę?

EUTYFRON: Ależ oczywiście, Sokratesie.

VI SOKRATES: A powiedzże, co to jest, twojem zdaniem zbożność a co bezbożność?

EUTYFRON: Więc mówię, że zbożność to jest to, co ja teraz robię; skarżyć takiego, co popełnia zbrodnię zabójstwa, czy świętokradztwa, czy innego się w tym rodzaju dopuszcza występku; wszystko jedno, czy to czasem nie ojciec, czy matka, czy kto bądź, a nie skarżyć, to bezbożność.

Bo zobaczno, Sokratesie, jakie ja ci wielkie świadectwo przytoczę, że zakon jest taki właśnie; ja to już niejednemu mówiłem, że toby tak poprawnie było, nie przepuszczać bezbożnikowi, choćby to był niewiadomo kto. Przecież ludzie sami wierzą, że Dzeus jest najlepszy z bogów i najsprawiedliwszy

a zgodnie utrzymują, że on własnego ojca wtrącił do więzienia, za to, że swoje dzieci zjadał, a nie miał prawa, a tamten znowu swojego ojca wykastrował za inne takie sprawki; a tu się na mnie gniewają, że ja na ojca skargę wnoszę, kiedy ten zbrodnię popełnił. Przecież w ten sposób sprzeciwiają się sami sobie, kiedy o bogach mówią i o mnie.

SOKRATES: A może to, Eutyfronie, to właśnie, dlaczego ja jestem oskarżony, bo takie rzeczy, ile razy ktoś o bogach mówi, ja to jakoś bardzo ciężko znoszę. I przez to, pewnie, powie ktoś, że popełniam występek. Ale teraz, skoro i ty tak myślisz, a ty się dobrze znasz na tych rzeczach, to chyba już będzie trzeba ustąpić. Bo i cóż ja powiem; ja sam przyznaję, że nic nie wiem o tych rzeczach. Ale mi tak powiedz, na patrona przyjaźni, ty na prawdę wierzysz, że to tak było.

EUTYFRON: I jeszcze osobliwsze rzeczy od tych, Sokratesie, których szerokie koła nie znają.

SOKRATES: I wojna, myślisz, bywa naprawdę między bogami i nieprzyjaźnie straszne i bitwy i inne takie rzeczy rozmaite, jak to poeci opowiadają, a lepsi malarze wymalowali nam takie historje po różnych świętych miejscach, a przecież na Wielkie Panateneje wożą na Akropolis płaszcz pełny takich obrazków. I to wszystko jest prawdą, co powiemy Eutyfronie?

EUTYFRON: Nietylko to, Sokratesie! Ale, jakem przed chwilą powiedział; ja ci jeszcze innych wiele rzeczy, jak zechcesz, o bogach opowiem; jak usłyszysz, to, jestem pewny: będziesz zdumiony.

VII SOKRATES: Jabym się nie dziwił. Ale to może innym razem, przy wolnej chwili mi opowiesz. A teraz to, o co cię przed chwilą pytałem, spróbój mi jaśniej powiedzieć! Bo przedtem, przyjacielu, jakoś nie pouczyłeś mnie dostatecznie, kiedym się pytał o zbożność, coby to było takiego, tylkoś mi powiedział, że zbożne jest właśnie to, co ty teraz robisz, kiedy ojca o zabójstwo skarżysz.

EUTYFRON: I prawdę mówiłem Sokratesie.

SOKRATES: Może być; ależ i o wielu innych rzeczach mówisz, że są zbożne.

EUTYFRON: Bo i są.

SOKRATES: Otóż przypominasz sobie, że nie o to cię prosiłem, abyś mnie pouczył o jednym, czy dwóch, z pośród wielu wypadków zbożności, ale o jej formie samej, przez którą wszystko, co zbożne, jest zbożne; mówiłeś przecież, że to dzięki jednej istocie rzeczy to, co bezbożne, jest bezbożne, a zbożne zostaje zbożnem; nie przypominasz sobie?

EUTYFRON: Ależ tak.

SOKRATES: Otóż o tem mnie poucz, o samej istocie rzeczy, jaka też ona jest, abym spozierając na nią i biorąc ją za pierwowzór, cokolwiekby takiego było w twojem postępowaniu, czy u kogoś innego, zarazbym to nazywał zbożnem, a coby nie było takie, tegobym tak nie nazywał.

EUTYFRON: Ach, jeżeli t a k chcesz, Sokratesie, to ja ci i tak powiem.

SOKRATES: Ależ tak; chcę, chcę.

EUTYFRON: Zatem cokolwiek jest m i ł e b o g o m, to jest zbożne, a co niemiłe, to bezbożne.

SOKRATES: Ślicznie, Eutyfronie; tak, jak ja chciałem, żebyś odpowiadał, tak też mi teraz odpowiedziałeś. Czy to prawda, tego jeszcze nie wiem, ale ty, oczywista, pouczysz mnie jeszcze dodatkowo, że to prawda to, co mówisz.

EUTYFRON: Naturalnie.

SOKRATES: No więc; zastanówmy się, co też my mówimy. To, co miłe bogom i człowiek bogom miły jest zbożny, a co bogom niemiłe i człowiek bogom niemiły bezbożny. I to nie jest jedno i to samo, ale to, co zbożne jest skrajnem przeciwieństwem tego, co bezbożne. Czy nie tak? VIII

EUTYFRON: No tak, Tak się powiedziało.

SOKRATES: I myślisz, że się dobrze powiedziało?

EUTYFRON: Myślę sobie, Sokratesie.

SOKRATES: Nieprawdaż, i że bogowie się kłócą, Eutyfronie, i poróżnienia między nimi bywają i nieprzyjaźń wzajemna i to się powiedziało?

EUTYFRON: Powiedziało się.

SOKRATES: A nieprzyjaźń i wybuchy gniewu, panie dobry, robi różnica na jaki temat? O, tak popatrzmy, gdybyśmy się różnili ty i ja, tak, na temat liczby, która jest większa; to, czyż różnica na ten temat zrobiłaby nas wrogami i pogniewałby się jeden na drugiego, czy też wzięlibyśmy się do rachowania i na taki temat pogodzilibyśmy się bardzo prędko?

EUTYFRON: No, tak.

SOKRATES: Nieprawdaż, i gdybyśmy się różnili co do tego, co większe, a co mniejsze, to wzię-

Biblioteka Akademii Medycznej w Gdańsku

libyśmy miarę do ręki i prędkoby ustała różnica między nami?

EUTYFRON: Tak jest.

SOKRATES: A znowu, wziąwszy wagę do ręki, rozstrzygnęlibyśmy pewnie spór o to, co cięższe, a co lżejsze?

EUTYFRON: A, czemużby nie?

SOKRATES: Więc na jakiż temat musielibyśmy się poróżnić i do jakiego nie mogli dojść rozstrzygnięcia, żebyśmy się wrogami stali i pogniewali jeden na drugiego? Może tego nie masz tak, pod ręką; ja powiem, a ty popatrz, czy to nie jest to, co sprawiedliwe i co niesprawiedliwe, co piękne i co haniebne i co dobre i złe. Czyż to nie te właśnie tematy, o które, gdy się poróżnimy, a nie możemy dojść do należytego rozstrzygnięcia tych rzeczy, stajemy się wrogami, ilekroć się nimi stajemy, i ja i ty i inni ludzie wszyscy.

EUTYFRON: Tak; istnieje taka różnica i na te tematy.

SOKRATES: Cóż tedy? a bogowie, Eutyfronie, jeżeli o co się różnią, to czyż nie z pewnością o te właśnie rzeczy?

EUTYFRON: Musi tak być; koniecznie.

SOKRATES: No, i z bogów, kochany Eutyfronie, jedni to, a drudzy tamto uważają za sprawiedliwe, wedle tego, co mówisz i za piękne i za haniebne, za dobre i złe. Bo przecieżby się nie kłócili ze sobą, gdyby się nie różnili na te właśnie tematy. Nie tak?

EUTYFRON: Dobrze mówisz.

SOKRATES: Nieprawdaż i co każdy z nich uważa za piękne i dobre i sprawiedliwe, to też i kocha, a przeciwieństwa tych rzeczy nienawidzi?

EUTYFRON: Naturalnie.

SOKRATES: Zatem jedno i to samo, jak ty powiadasz, jedni z nich uważają za sprawiedliwe, a drudzy za niesprawiedliwe; o to się różnią między sobą i stąd kłótnie i wojny między nimi. Czy nie tak?

EUTYFRON: Tak.

SOKRATES: Zatem do jednego i tego samego, widać, nienawiść bogów się zwraca i miłość. I to, czego bogowie nienawidzą i to, co im miłe byłoby jednem i tem samem.

EUTYFRON: Widać.

SOKRATES: No, więc i to, co zbożne i co bezbożne, byłoby też jednem i tem samem Eutyfronie, na taki sposób.

EUTYFRON: Gotowo być.

SOKRATES: Więc tyś mi nie odpowiedział na IX
pytanie, mężu osobliwy. Bo ja się przecież nie o to pytałem, co jest właśnie jednem i tem samem: zbożnem i bezbożnem równocześnie; a tu się pokazuje, że cokolwiekby było bogom miłe, to samo też będzie im i niemiłe. Tak, że, Eutyfronie, to, co ty teraz robisz, kiedy się starasz o karę dla ojca, to nicby nie było dziwnego, gdybyś się takim czynem Dzeusowi przypodobał, a Kronosowi i Uranosowi naraził i Hefajstosowi podobał, a Herę sobie zraził. I jeśli kto inny z bogów różni się na ten temat z drugimi, to w stosunku do nich tak samo.

EUTYFRON: Ej, myślę ja, Sokratesie, że na ten temat, to z bogów żaden się z drugim nie różni, jako iż nie powinien kary ponosić taki, co niesprawiedliwie kogoś zabije.

SOKRATES: Jakto? A z ludzi, Eutyfronie, słyszałeś kiedy, żeby się ktoś kłócił o to, że nie powinien kary ponosić taki, co zabił kogoś niesprawiedliwie, albo inną zbrodnię popełnił?

EUTYFRON: Przecież się o to ciągle kłócą i gdzieindziej i po sądach. Niewiadomo jakie zbrodnie popełniają a robią wszystko możliwe i mówią, byle nie ponosić kary.

SOKRATES: No, i przyznają się, Eutyfronie, do zbrodni, ale mimo tego przyznania, powiadają, że nie powinni ponosić kary.

EUTYFRON: O co to, to nigdy.

SOKRATES: Jednak wszystkiego możliwego przecież nie robią i nie mówią. Bo tego, chyba nie śmie nikt powiedzieć, ani się o to kłócić, żeby, skoro popełnia zbrodnię, nie powinien był kary ponosić, tylko, chyba, mówią, że nie popełniają zbrodni. Nie tak?

EUTYFRON: Prawdę mówisz.

SOKRATES: Więc może nie o tamto się kłócą, że zbrodniarz nie powinien kary ponosić, tylko pewnie o to się spierają, kto jest zbrodniarzem, bo co zrobił i kiedy.

EUTYFRON: Prawdę mówisz.

SOKRATES: Nieprawdaż, zupełnie to samo trafia się i bogom, kiedy się kłócą o to, co sprawiedliwe i niesprawiedliwe, jak ty mówisz; jedni przyznają,

że jeden drugiego krzywdzi, a drudzy nie przyznają. Bo przecież tego, mężu osobliwy, nikt ani z bogów, ani z ludzi nie śmie twierdzić, żeby zbrodniarz naprawdę nie powinien był ponosić kary.

EUTYFRON: Tak, niby to, słusznie mówisz, Sokratesie, tak, na ogół biorąc.

SOKRATES: I tak o każdy chyba, Eutyfronie, o każdy czyn kłócą się ci, którzy się kłócą, i ludzie i bogowie, jeżeli tylko się kłócą bogowie. Poróżniwszy się o jakiś postępek, jedni powiadają, że został słusznie dokonany, a drudzy, że niesłusznie. Czy nie tak?

EUTYFRON: Oczywiście.

SOKRATES: Otóż proszę cię, kochany Eutyfronie, pouczże i mnie, abym był mądrzejszy, jakie ty masz świadectwo, że wszyscy bogowie uważają, iż niesłusznie umarł tamten, co to był w służbie a został zabójcą i, skrępowany na rozkaz pana tego nieboszczyka, umarł z więzów prędzej, zanim się ten, co go związać kazał, dowiedział od radców wyznaniowych, co z nim począć i że za coś takiego godzi się, żeby syn nastawał na ojca i wnosił na niego skargę o zabójstwo. Wiesz, to mi spróbuj nieco jaśniej wykazać, że stanowczo wszyscy bogowie uważają ten czyn za poprawny. Jeżeli mi to wykażesz, to ja chwalić twojej mądrości nigdy nie przestanę. X

EUTYFRON: No, Sokratesie, to nie jest taka łatwa rzecz, chociaż jabym ci to mógł bardzo jasno wykazać.

SOKRATES: Ja rozumiem. Ty uważasz, że ja jestem mniej pojętny, niż sędziowie. Przecież im wy-

każesz, oczywiście, że to zbrodnia i wszyscy bogowie nienawidzą czegoś podobnego.

EUTYFRON: Bardzo jasno, Sokratesie. Byleby tylko słuchali, jak będę mówił.

XI SOKRATES: Z pewnością będą słuchali, byleby tylko dobrze mówił. Ale oto, kiedyś mówił, wpadło mi na myśl i tak sobie sam rozważam, choćby mnie, nie wiem jak, Eutyfron uczył, że wszyscy bogowie uważają taką śmierć za niesprawiedliwą, to czegożem się ja więcej nauczył od Eutyfrona o tem, c o t o j e s t to, co zbożne i to, co bezbożne? Bo niemiły bogom taki czyn — no, zdaje się, mógłby być. Ależ bo przed chwilą widzieliśmy, że się nie tą cechą określa to, co zbożne i to, co nie. Pokazało się, że to, co niemiłe bogom, bywa im też i miłe. Tak, że ja ci to już daruję Eutyfronie i jak chcesz, to niech sobie to wszyscy bogowie uważają za niesprawiedliwe i wszyscy nienawidzą. Ale możebyśmy teraz to w naszych rozważaniach poprawili, że to, czego wszyscy bogowie nienawidzą — to jest bezbożne, a co lubią, to zbożne. A to, co jedni lubią a drudzy tego nie znoszą, to ani jednem nie jest, ani drugiem, albo też jednem i drugiem równocześnie? Może tak wolisz, żebyśmy sobie teraz określili to, co zbożne i co bezbożne?

EUTYFRON: A cóż nam przeszkadza Sokratesie?

SOKRATES: No, mnie nic, Eutyfronie; ale ty swego patrzaj, czy przy takiem założeniu, w ten sposób mnie najłatwiej nauczysz tego, coś przyrzekł.

EUTYFRON: Nie; jabym powiedział, że zbożne jest to, co wszyscy bogowie lubią, a przeciwieństwo, czyli to, czego wszyscy bogowie nienawidzą, to bezbożne.

SOKRATES: Nieprawdaż, trzeba znowu i to wziąć pod uwagę, Eutyfronie, czy to dobrze powiedziane; czy też dać pokój i tak, niech jeden z nas od drugiego bierze i od innych, jak tylko ktoś powie, że coś tak jest, to zaraz się zgodzić, czy też rozważyć: co właściwie ma na myśli ten, który mówi?

EUTYFRON: Rozważyć. Ale mnie się jednak zdaje, że to teraz, dobrze powiedziane.

SOKRATES: Zaraz, kochanku, będziemy to lepiej wiedzieli. Pomyślno nad czemś takiem, czy bogowie lubią to, co zbożne, dlatego, że ono jest zbożne, czy też ono jest dlatego zbożne, że je bogowie lubią. XII

EUTYFRON: Ja nie wiem, co ty mówisz, Sokratesie.

SOKRATES: Więc ja spróbuję się jaśniej wyrazić. Nazywamy coś noszonem i noszącem, i wiezionem i wiodącem, i widzianem i widzącem. I we wszystkich tego rodzaju rzeczach różnicę widzisz i rozumiesz, na czem ona polega?

EUTYFRON: Mnie się zdaje, że rozumiem.

SOKRATES: Nieprawdaż i kochane coś jest, a znowu coś innego to, co kocha?

EUTYFRON: Jakżeby nie?

SOKRATES: A powiedz mi. To noszone, jest

Akademia Lekarska w Gdańsku
Zakład Historii i Filozofii
Medycyny

noszonem, ponieważ je coś niesie, czy dla czegoś innego?

EUTYFRON: No, nie tylko właśnie dlatego.

SOKRATES: A to wiezione znowu dlatego, że się je wiezie, a widziane dlatego, że się je widzi.

EUTYFRON: Oczywiście.

SOKRATES: Więc może nie dlatego się coś widzi, że ono jest widziane, ale przeciwnie, ponieważ się coś widzi, dlatego ono jest widziane i nie dlatego się coś wiezie, że ono jest wiezione, ale ponieważ się to wiezie, dlatego ono jest wiezione i nie dlatego się coś niesie, że to jest niesione, ale ponieważ się to niesie, przeto ono jest niesione. Czy jasne, Eutyfronie, co ja chcę powiedzieć? Ja chcę to, że, jeśli się coś staje, albo doznaje czegoś, to nie dlatego się staje, że jest czemś powstającem, tylko ponieważ się staje, dlatego jest czemś powstającem i nie dlatego doznaje czegoś, że jest czemś doznającem, ale, ponieważ czegoś doznaje, dlatego jest też czemś doznającem. Czy też nie zgadzasz się na to?

EUTYFRON: No, dobrze.

SOKRATES: Nieprawdaż, a także i to, co lubimy, albo jest czemś powstającem, albo jest czemś doznającem czegoś od czegoś innego?

EUTYFRON: Oczywiście.

SOKRATES: Więc może i z tem tak samo, jak z tamtemi rzeczami. Nie dlatego je lubią ci, co je lubią, że ono jest lubiane i miłe, ale ono dlatego jest miłe, że je ludzie lubią.

EUTYFRON: Koniecznie.

SOKRATES: A więc cóż powiemy o tem, co zbożne, Eutyfronie? Lubią je wszyscy bogowie, wedle twego określenia?

EUTYFRON: Tak.

SOKRATES: Czy dlatego, że ono jest zbożne, czy dlaczego innego?

EUTYFRON: No, nie; tylko dlatego.

SOKRATES: Więc dlatego je lubią, że ono jest zbożne a nie dlatego jest zbożne, że je lubią?

EUTYFRON: Zdaje się.

SOKRATES: A znowu dlatego, że coś lubią bogowie, jest lubiane i miłe bogom to, co im miłe.

EUTYFRON: Jakżeby nie?

SOKRATES: Zatem to, co miłe bogom nie jest to, co zbożne ani to, co zbożne, miłe bogom, jak ty mówisz, ale jedno co innego i drugie co innego.

EUTYFRON: Jakim sposobem, Sokratesie?

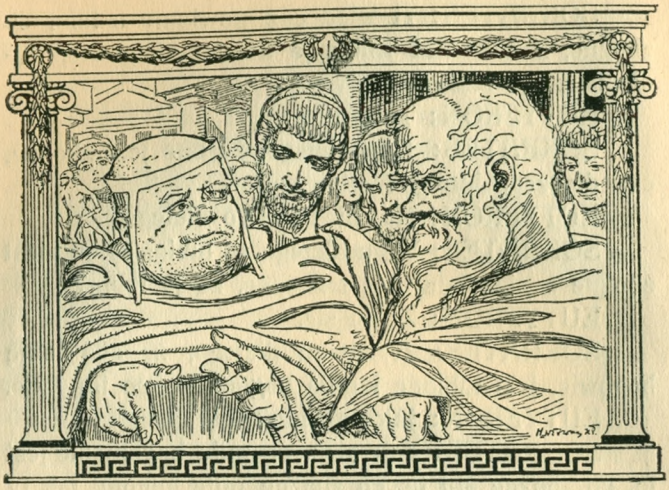
SOKRATES: Bośmy się zgodzili, że bogowie dlatego lubią to, co zbożne, że ono jest zbożne, a nie ono jest zbożne dlatego, że je lubią. No nie?

EUTYFRON: Tak.

SOKRATES: A to, co miłe bogom, to dlatego, XIII
że je bogowie lubią i dzięki temu właśnie, że je bogowie lubią, jest bogom miłe a nie dlatego je bogowie lubią, że im jest miłe?

EUTYFRON: Prawdę mówisz.

SOKRATES: Otóż gdyby to było jedno i to samo, kochany Eutyfronie, to, co bogom miłe i to, co zbożne, to z jednej strony, gdyby bogowie to co zbożne kochali dlatego, że ono zbożne, wtedyby i to, co im miłe, lubili dlatego, że im jest miłe. I gdyby



znowu, to, co miłe bogom, było im dlatego miłe, że je bogowie lubią, toby i to, co zbożne, było zbożnem dlatego, że je lubią. Tymczasem widzisz, że między temi rzeczami zachodzi przeciwieństwo, bo jedno jest zgoła czemś innem, niż drugie. Bo jedno jest takie, że się daje lubić, dzięki temu, że się je lubi, a drugie lubią dzięki temu, że ono się daje lubić. Zdaje się Eutyfronie, że na pytanie o to, c o zbożne, c z e m ono jest właściwie, ty mi nie chcesz wyjaśnić jego istoty a mówisz mi tylko jakąś jego przypadłość; że tej przypadłości ulega to, co zbożne: kochają je wszyscy bogowie. Ale, czem to j e s t, jeszcześ mi nie powiedział. Więc jeśli łaska, nie kryj tego przedemną ale jeszcze raz mi od początku powiedz, co to właściwie jest to, co zbożne; wszystko jedno, czy je bogowie lubią, czy jakąkolwiek inną

ma przypadłość. O to się przecież nie będziemy spierali. Więc powiedzże, łaskawie, co to jest to, co zbożne i to, co bezbożne?

EUTYFRON: Wiesz, Sokratesie, jakoś nie umiem ci powiedzieć tego, co mam na myśli. Bo cokolwiek założymy, to wszystko jakoś nam zaczyna chodzić tędy i owędy, a nie chce stać tam, gdzieśmy to utwierdzili.

SOKRATES: To coś niby robota mojego przodka Dajdala, to, co ty mówisz Eutyfronie. Gdybym to j a był te rzeczy mówił i zakładał, pewniebyś był ze mnie kpił, że to przez pokrewieństwo z nim, tak mi robota myśli ucieka i nie chce s t a ć, gdzie ją kto postawi. Tymczasem to są t w o j e założenia. Więc potrzeba innego żartu. Przecież n i e chcą ci się trzymać, jak i sam uważasz.

EUTYFRON: Mnie się zdaje, że bodaj i ten sam żart będzie do rzeczy w tej rozmowie, bo tego chodzenia, zamiast żeby stały na miejscu, ja w te założenia nie wsadziłem, tylko ty, zdaje mi się, jesteś Dajdal. Przezemnie byłyby się, pewnie, trzymały: tak!

SOKRATES: To, chyba ja przyjacielu, o tyle jestem większy majster od tamtego człowieka, że jemu się tylko własne roboty ruszały a u mnie nie tylko własne, ale podobno i cudze. A już największy figiel w mojej sztuce ten, że ja mimowoli jestem mądry: jabym bardzo chciał, żeby mi się myśli trzymały i nieruchomo utwierdzone trwały raczej niż, żebym ze sztuką Dajdala musiał łączyć skarby Tantala. Ale dosyć tego. Mam wrażenie, że ci coś

rura zmiękła, więc ja ci sam pomogę, jakby mnie nauczyć o tem, co zbożne. A tylko się nie zmęcz za prędko. Popatrzno, czy nie wydaje ci się koniecznem, że wszystko, co zbożne, jest, przecież, sprawiedliwe?

EUTYFRON: Wydaje mi się.

SOKRATES: A czy i wszystko, co sprawiedliwe, jest też i zbożne, czy też tylko wszystko, co zbożne, to sprawiedliwe a sprawiedliwe nie wszystko zbożne, tylko jedno sprawiedliwe będzie zbożne, a drugie jakieś inne?

EUTYFRON: Nie nadążam, Sokratesie, za słowami.

SOKRATES: A młodszyś odemnie z pewnością nie o mniej, niżeś mądrzejszy. Tylko, jak mówię, takeś zmiękł z tego bogactwa mądrości. Ale przecież, napnij się trochę, mój drogi. Przecież to i nie trudno zrozumieć to, co mówię. Ja mówię, po prostu, coś przeciwnego, niż wyśpiewał poeta, który powiada:

Dzeusa zaś stwórcy wszechrzeczy, co wszystko spłodził na ziem
Nie chcesz wymienić, bo wszędzie, gdzie strach jest, tam i wstyd
[będzie.

Otóż ja się tem różnię od poety, powiedzieć ci czem?

EUTYFRON: Naturalnie.

SOKRATES: Mnie się zdaje, że gdzie jest strach, tam wcale nie musi być wstyd. Uważam, że niejeden boi się i choroby i ubóstwa i wielu innych takich rzeczy boi się, ale nie wstydzi się zupełnie tego, czego się boi. Nie wydaje się tak i tobie?

EUTYFRON: Naturalnie.

SOKRATES: Ale gdzie jest wstyd, tam i strach będzie. Bo czy znajdzie się taki, któryby się wstydził jakiegoś czynu i musiał się zań rumienić, a nie bałby się i nie drżałby równocześnie o rozgłos nieprawości?

EUTYFRON: Więc boi się.

SOKRATES: Więc to nie jest poprawne powiedzenie: „gdzie jest strach, tam i wstyd będzie", ale: gdzie wstyd jest, tam i strach będzie, a nie gdzie tylko strach, tam wszędzie zaraz wstyd. Bo strach, uważam, sięga dalej, niż wstyd. Wstyd jest pewną częścią strachu. Podobnie, jak liczba nieparzysta jest częścią liczby tak, że nie wszędzie, gdzie tylko liczba, tam i liczba nieparzysta, tylko, gdzie jest liczba nieparzysta, tam też jest i liczba. No cóż, nadążasz teraz jakoś; przecież?

EUTYFRON: Naturalnie.

SOKRATES: Otóż ja i tam w poprzednich słowach pytałem o coś podobnego. Czy, gdzie sprawiedliwość, tam i zbożność, czy też, gdzie zbożność, tam i sprawiedliwość ale, gdzie sprawiedliwość, tam nie wszędzie zbożność. Bo to, co zbożne, stanowi cząstkę tego, co sprawiedliwe. Tak powiemy, czy inaczej ci się wydaje?

EUTYFRON: Nie, właśnie tak samo, zdaje mi się, że to poprawnie powiedziane.

SOKRATES: A zobaczże, co dalej. Jeżeli to, XIV
co zbożne, jest cząstką tego, co sprawiedliwe, to trzebaż nam przecież wyszukać, jaką też cząstką sprawiedliwości byłoby to, co zbożne. Tak, jak gdybyś ty mnie pytał o coś z tych rzeczy teraz, np:

jaką cząstką liczby jest liczba parzysta i jaka to właściwie jest liczba, to powiedziałbym, że, byleby nie krzywa, ale równoramienna. Nie zdaje ci się?

EUTYFRON: Zdaje mi się.

SOKRATES: Więc spróbuj i ty mnie w ten sposób pouczyć, jaką cząstką sprawiedliwości jest to, co zbożne, abym i Meletosowi powiedział, niech mi już dłużej krzywdy nie robi i nie skarży mnie o bezbożność, bom się tego doskonale u ciebie wyuczył: i tego, co pobożne i tego, co zbożne i co bezbożne.

EUTYFRON: Sokratesie, mnie się zdaje, że pobożność i zbożność to będzie ta cząstka sprawiedliwości, która dotyczy służby około bogów. A to, co dotyczy obowiązków wobec ludzi, to będzie pozostała część sprawiedliwości.

XV SOKRATES: Ty pięknie mówisz, jak widzę, Eutyfronie. Tylko jeszcze pewnej odrobiny mi potrzeba. Jeszcze tej „służby" dobrze nie rozumiem; jaką ty właściwie wymieniasz? Przecież nie tak, jak się mówi o różnych służbach około innych rzeczy; nie o takiej myślisz chyba i około bogów. Bo przecież mówimy — no powiadamy np: konia, to nie każdy potrafi obsłużyć, tylko hodowca koni. Czy nie?

EUTYFRON: Naturalnie.

SOKRATES: Bo niby hodowla koni uczy służby koło koni.

EUTYFRON: Tak.

SOKRATES: Ani psów nie potrafi każdy obsługiwać, tylko sfornik.

EUTYFRON: Tak jest.

SOKRATES: Bo sfornictwo uczy obsługiwania psów?

EUTYFRON: Tak.

SOKRATES: A hodowla wołów uczy chodzić około wołów?

EUTYFRON: Naturalnie.

SOKRATES: A niby, zbożność i pobożność około bogów. Tak mówisz Eutyfronie?

EUTYFRON: Ja; tak.

SOKRATES: Nieprawdaż; wszelkie obsługiwanie do jednego i tego samego zmierza, a mianowicie, do pewnego dobra i pożytku istoty obsługiwanej; o, tak, jak widzisz, że konie umiejętnie obsługiwane zyskują na tem; stają się lepsze. Czy też myślisz, że nie?

EUTYFRON: Ja? tak!

SOKRATES: A psy wedle zasad sfornictwa, a woły wedle hodowli bydła i inne wszystkie rzeczy tak samo. Czy też może myślisz, że obsługiwanie jest obliczone na szkodę istoty obsługiwanej?

EUTYFRON: Na Dzeusa, ja? Nie!

SOKRATES: Więc na pożytek?

EUTYFRON: A pewnie.

SOKRATES: Czyż więc i zbożność, skoro jest służbą około bogów, przynosi im pożytek i czyni bogów lepszymi? I tyżbyś się na to miał zgodzić, że, kiedy coś zbożnego czynisz, to kogoś z bogów robisz lepszym?

EUTYFRON: Na Dzeusa! ja? Nie!

SOKRATES: No, ja także nie myślę, Eutyfronie, żebyś ty to mówił. Jestem daleki od tego.

Toteż tylko dlatego się pytałem, jaką ty właściwie masz na myśli obsługę bogów; nie przypuszczałem, żebyś ty o takiej mówił.

EUTYFRON: I słusznie, Sokratesie; ja przecież o takiej nie mówię.

SOKRATES: No dobrze. Więc cóżby to mogło być za obsługiwanie bogów, ta zbożność?

EUTYFRON: Takie, Sokratesie, jakie niewolnicy panom swoim świadczą.

SOKRATES: Rozumiem; To będzie może pewnego rodzaju posłuszeństwo wobec bogów.

EUTYFRON: Naturalnie.

XVI SOKRATES: A czy mógłbyś mi powiedzieć: posłuszeństwo wobec lekarzy to jest posłuszeństwo obliczone na to, żeby jaki wynik uzyskać? Zdrowie. Nie myślisz, że tak?

EUTYFRON: Ja — tak.

SOKRATES: No cóż. A posłuszeństwo wobec cieśli okrętowych zmierza znowu do wykonania jakiego dzieła?

EUTYFRON: Oczywista, Sokratesie, że statku.

SOKRATES: A wobec budowniczych, do domu?

EUTYFRON: Tak.

SOKRATES: Powiedzże mi więc łaskawie: a posłuszeństwo wobec bogów byłoby obliczone na uzyskanie jakiego dzieła? Oczywista, że ty wiesz, skoro mówisz, że się na rzeczach boskich rozumiesz najlepiej ze wszystkich ludzi.

EUTYFRON: I prawdę mówię, Sokratesie.

SOKRATES: Powiedzże tedy, na Dzeusa, cóż

to za takie śliczne dzieło, które bogowie wykonują, a nas do tego używają jako służby?

EUTYFRON: Bardzo wiele pięknych rzeczy, Sokratesie.

SOKRATES: Ależ to samo i wodzowie, przyjacielu. A mimo to, główny cel ich pracy łatwo potrafisz nazwać: zwycięstwo w wojnie. Czyż nie?

EUTYFRON: Jak: nie?

SOKRATES: I wiele pięknych rzeczy myślę że i rolnicy robią, a jednak główny cel ich roboty pożywienie z ziemi.

EUTYFRON: O tak.

SOKRATES: Cóż więc tedy? Z tych wielu pięknych rzeczy, które bogowie robią, co jest głównym celem roboty?

EUTYFRON: Jużem ci to przed chwilą powiedział, Sokratesie, że to nie tak łatwo jasno się nauczyć tego wszystkiego, jak to jest. Ja ci to jedno powiem po prostu, że, jeśli ktoś umie mówić i robić to, co bogom przyjemne, modlić się i składać ofiary, to to są rzeczy zbożne i to chroni domy prywatne i ocala publiczne dobro państw. A przeciwnie to, co nieprzyjemne, to bezbożne i to wywraca fundamenty wszystkiego i wszystkiemu zgubę przynosi.

SOKRATES: Ej, nawet znacznie krócej, Eutyfronie, byłbyś mi mógł nazwać główny cel tego, o co cię pytałem, gdybyś był chciał. Tylko ty, widać, nie masz ochoty mnie uczyć. Oczywista. Przecież i teraz, kiedyś już tuż tuż przy tem był, skręciłeś na miejscu. A gdybyś był na to odpowiedział, to byłbym się był całkiem wystarczająco od ciebie zbożności nauczył. XVII

tymczasem teraz musi zakochany za kochankiem iść, gdzie go tamten poprowadzi. Więc czem znowu, powiadasz, będzie to, co zbożne i zbożność? Czy nie pewnego rodzaju umiejętnością składania ofiar i modlenia się?

EUTYFRON: Tak jest.

SOKRATES: Nieprawdaż, ofiary składać to znaczy coś bogom darowywać a modlić się znaczy prosić bogów?

EUTYFRON: Zupełnie tak, Sokratesie.

SOKRATES: Zatem zbożność byłaby to umiejętność, dotycząca próśb i darów w stosunku do bogów wedle tego słowa?

EUTYFRON: Bardzo pięknie, Sokratesie, zrozumiałeś to, com powiedział.

SOKRATES: Przyjacielu, mnie żądza pali do twojej mądrości; ja na nią dobrze uważam; nie bój się, już to nie upadnie na ziemię, co tylko powiesz. Ale mów, co to za posłuszeństwo wobec bogów? powiadasz, że to tak, prosić ich o coś i coś im dawać?

EUTYFRON: Ja — tak.

XVIII SOKRATES: A słuszne proszenie polegałoby może na tem, żeby ich o to prosić, czego od nich potrzebujemy?

EUTYFRON: A o cóż innego?

SOKRATES: A znowu poprawne dawanie na tem, żeby to właśnie darowywać, czego oni od nas potrzebują. Bo przecieżby to nie było umiejętne składanie darów, dawać komuś to, czego mu wcale nie potrzeba.

EUTYFRON: Prawdę mówisz, Sokratesie.

SOKRATES: Byłby to zatem „rodzaj handlu" sztuka pośrednictwa handlowego między bogami i ludźmi. To byłaby zbożność?

EUTYFRON: „Rodzaj handlu" jeżeli ci się taka nazwa więcej podoba.

SOKRATES: Mnie się ona zgoła więcej nie podoba, chyba, że jest właśnie prawdziwa. Powiedz że mi, jaki pożytek mają bogowie z darów, które od nas otrzymują? Bo co nam dają, to każdy wie. Ale to, co my im dajemy, na co im się to przyda? Czy też może my tyle zarabiamy na tym handlu z nimi, że wszystko dobre bierzemy od nich, a oni od nas nic?

EUTYFRON: A czy ty myślisz, Sokratesie, że bogowie coś mają z tego, co od nas biorą?

SOKRATES: No więc czemże są, Eutyfronie, te nasze dary bogom składane?

EUTYFRON: A cóż myślisz innego, jak nie objawy czci i dary honorowe i to, com przed chwilą mówił, objawy wdzięczności.

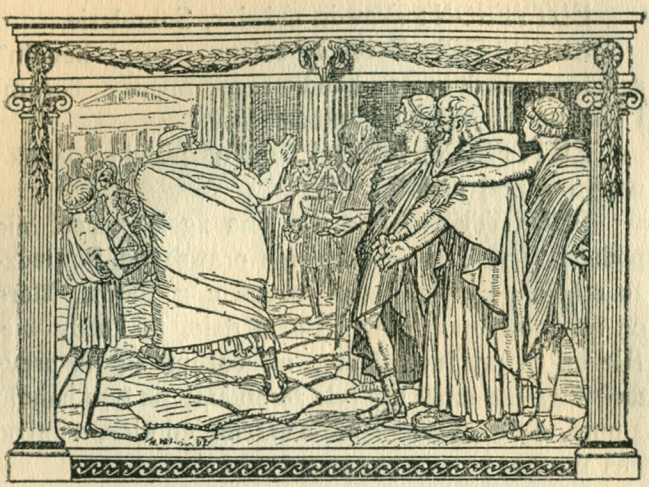
SOKRATES: Wiec to, co zbożne byłoby objawem wdzięczności dla bogów, Eutyfronie, a nie czemś dla nich pożytecznem, ani czemś miłem?

EUTYFRON: Ja myślę, że to przedewszystkiem jest im miłe.

SOKRATES: Więc to znowu jest to, co zbożne, to, co bogom miłe?

EUTYFRON: Naturalnie, że to.

SOKRATES: Widzisz, potem się będziesz dziwił, jak zobaczysz, że twoje twierdzenia nie stoją XIX



na miejscu, tylko chodzą i będziesz na mnie mówił, żem Dajdal i robię tak, żeby chodziły a ty jesteś o wiele większy majster, niż Dajdal; twoje roboty chodzą w kółko. Nie widzisz, że nasze twierdzenie obeszło kółkiem i znowu na to samo miejsce wraca? Może pamiętasz, że przedtem to, co zbożne i to, co miłe bogom, nie wydało się nam jednem i tem samem, ale jedno czemś innem i drugie. Czy też nie pamiętasz?

EUTYFRON: Ależ tak.

SOKRATES: A teraz nie uważasz, że to, co bogom miłe, nazywasz zbożnem. A to przecież zupełnie to samo co przedtem. Czy nie?

EUTYFRON: Naturalnie.

SOKRATES: Nieprawdaż, więc albośmy się

przedtem niewłaściwie zgodzili, albo, jeżeli wtedy dobrze, to teraz niepoprawnie zakładamy.

EUTYFRON: Zdaje się. XX

SOKRATES: A to od początku musimy, drugi raz, rozpatrzyć, co to jest to, co zbożne. Bo ja, zanim się nie dowiem, nie myślę dobrowolnie z placu uciekać. Więc nie miejże mnie za lada co; zbierz uwagę, jak umiesz, i powiedz prawdę. Jeżeli kto, to ty ją znasz przecież i nie trzeba cię puszczać; jak Proteusza, zanim jej nie powiesz. Przecież, gdybyś nie był jasno wiedział, co zbożne a co bezbożne, żadną miarą nie byłbyś próbował o służącego ścigać za zabójstwo starca, ojca, alebyś się był bał i bogom narażać; a nuż nie postąpisz poprawnie i ludzibyś się był wstydził. A tak, ja jestem głęboko przekonany, że ty swojem zdaniem, jasno wiesz, co zbożne a co nie. Więc powiedz, Eutyfronie przezacny, nie kryj, co to jest, jak sądzisz?

EUTYFRON: No, to na drugi raz, Sokratesie; teraz się dokądsiś spieszę i czas mi już iść.

SOKRATES: Co ty robisz, przyjacielu! Strąciłeś mnie ze szczytu nadziei i odchodzisz! Ja się tak spodziewałem, od ciebie nauczyć, co zbożne a co nie i uwolnić się od skargi Meletosa; wykazać mu, żem się przez Eutyfrona zrobił mądry w rzeczach boskich i nigdy już nie będę strzelał głupstw w tych sprawach, ani nowinek szerzył i poza tem całe życie moje byłoby lepsze.

I. EKSPOZYCJA

I

Z JAKIEJ POSTAWY DUCHOWEJ ZACZYNAJĄ OBAJ

Eutyfron lubi wiedzieć, kto jak żyje i co się między ludźmi dzieje. Osoby pobożne i duchowne i w Grecji nie stroniły od spraw tego świata tem bardziej, że dobrze jest znać stosunki w tem zbiorowisku ludzkiem, którem się chce kierować a miło też usłyszeć o czemś, co ludzie złego robią, bo gorszenie się ludzkiemi słabościami i wadami jest wzruszeniem bardzo przyjemnem.

Eutyfron zna Sokratesa jako człowieka cichego, tenby nikomu procesu nie wytaczał; sam się w rozdziale V przechwala jako taki, co to sobie da rady w sali sądowej, tem bardziej, że o każdym obywatelu coś wie ciekawego, jest więc w tem uznaniu cichości Sokratesa i jego nieudolności palestranckiej pewne politowanie pobłażliwe, którem wieszczek będzie i w dalszym ciągu karmił filozofa.

Sokrates mógłby sobie pozwolić na zjadliwe zwroty pod adresem Meletosa, ale ogranicza się do objektywnego rysopisu twarzy, który nie wypada zbyt pochlebnie.

Gorżka ironia bije dopiero z jego dalszych słów. On miał przecież to najgłębsze przekonanie, że wpły-

wem swoim podnosi młodych ludzi moralnie i umysłowo, robi ich lepszymi; uczył ich przecież zastanawiać się, myśleć nad swojem postępowaniem i pracować nad sobą a nie żyć byle jak, z dnia na dzień. Zarzut psucia młodzieży musiał go więc boleć szczególnie; tem bardziej, że wychodził od młodzika, któremu nic nie dawało prawa do tego. Dlaczego Sokrates psucie młodzieży nazywa głupotą, to wyjaśni i rozwinie szerzej w swej Obronie przed sądem. Władza państwowa, którą tu filozof do matki przyrównywa, wcale się dla niego matką nie okazała. Wiedział o tem Platon, przeczuwać to mógł i Sokrates, więc i ten zwrot jest ironiczny. Podobnie i cała pochwała Meletosa, który może myśli robić karjerę polityczną, kiedy się waży na taki krok publiczny jak skarga przeciw Sokratesowi. Sławnym go to zrobi w każdym razie.

II
ŻYCZLIWA AROGANCJA WIESZCZKA

Wieszczek zaciekawiony uważa za właściwe pozyskać sobie sympatję filozofa komplementem; chce też wiedzieć coś więcej o treści procesu. Sokrates streszcza skargę, której tekst rozpatrzy dopiero w Obronie. Dwa słowa wystarczyły Eutyfronowi. Już wie, jak doszło do procesu. Zwrot: „Takich ludzi jak my“ ma Sokratesa podnieść do poziomu wieszczka. Protekcjonalne branie pod rękę i pocieszenie bardzo nie na miejscu, kiedy nad kimś wisi sprawa gardłowa. Nie róbże sobie nic z tego!

III
PIERWSZY CIOS SOKRATESA

Sokrates ostrożnie zwraca uwagę, że nie sama oryginalność budzi niechęć tłumu, ale działalność intelektualna, której się Eutyfron zgoła nie oddaje,

więc nic dziwnego, że mu nic z tamtej strony nie grozi. Niepotrzebnie pozował na „wroga ludu."

Po kilku żartach Eutyfron objawia przed oczyma zdumionego Sokratesa, do czego doprowadziła go urzędowa religijność. Opisuje swój zamiar legalny, zbożny wedle pisanego prawa i wedle uznanego zwyczaju, na który się jednak wzdryga, naturalnym odruchem, dobre serce Sokratesa.

IV
ROZUM EUTYFRONA I SERCE SOKRATESA

W Eutyfronie te naturalne odruchy zgoła już się nie budzą. Ojciec własny jest mu zupełnie obojętny, jest dla niego tylko przedmiotem prawa. Godzi z zimną krwią na jego wolność i życie, byle się tylko nie „streínić", byle zostać w porządku z przepisami urzędowej religji. Pełne grozy zdumienie Sokratesa zupełnie nie zbija wieszczka z tropu. Jest nadzwyczajnie pewny siebie. Tak się powinno postąpić, a on się na przepisach zna; on wie, co jest zbożne a co bezbożne.

Ekspozycja zamknięta. Wiemy, kto z kim gra i o co. Kwestja się wyłoniła sama. Co to jest to co zbożne, na czem polega zbożność, jaka jej istota i określenie. Nadchodzi rzecz główna djalogu, która się dzieli na trzy części. Od rozdziału V do XIII włącznie część negatywna, poświęcona sformułowaniu kwestji i krytyce popularnych pojęć o zbożności, od XIV do XVI włącznie część pozytywna, poświęcona trafnemu określeniu zbożności i od XVII do XIX włącznie powtórna krytyka religijności powierzchownej. Rozdziału XX zawiera epilog i podaje cel dziełka.

II. RZECZ GŁÓWNA

a) CZĘŚĆ NEGATYWNA

V Ponieważ Eutyfron przedstawił się jako fachowiec i znawca rzeczy boskich, pyta go tedy Sokrates o istotę jego fachu. Wieszczek powinien wiedzieć, jaki wspólny pierwiastek sprawia, że te lub owe postępki są zbożne lub bezbożne. Na czem to polega, co to jest właściwie? Jaka jest istota zbożności?

Pytanie tak niezmiernie charakterystyczne dla Sokratesa i Platona. Pytanie o definicję, które Sokrates stale zwraca do fachowców i stale nie otrzymuje odpowiedzi, co go napełnia gorżkim pesymizmem w odniesieniu do wartości ich samych i ich pracy.

KWESTJA ISTOTY RZECZY

Odpowiedzi spodziewa się Sokrates od fachowców, bo wierzy, że człowiek, który pewien zakres faktów zgłębił myślowo i opanował, potrafi też podać mniej lub więcej dobrą definicję danego zakresu. W niej się przejawiać winna istota rzeczy, a fachowiec istotę swej rzeczy znać powinien. Istota znaczy to, co w danej ilości faktów podobnych jest czemś stałem, rzeczywistem i charakterystycznem, a da się poznać tylko rozumem i wyrazić z pomocą zwrotów ogólnych.

Odpowiedzi jednak nie odbiera, bo fachowcy najczęściej nie opanowują myślowo i nie zgłębiają swego fachu a uprawiają go w sposób rzemieślniczy na podstawie tradycji, przepisów zwyczajem ustalonych, uzupełnionych, co najwyżej, dorywczem do-

świadczeniem osobistem, które nie zawsze doprowadza do jasnego i zgodnego z innemi uogólnienia.

Na tem jednak polega, zdaniem Platona, ciemnota i głupota tłumu, którą atakuje i zwalcza niemiłosiernie. Chciałby, żeby przynajmniej kierujące tłumem jednostki były nie rzemieślnikami, ale filozofami czyli rozumiały swój fach i życie do głębi, do istoty rzeczy. Walka godna zachodu, niewygrana do dziś a trzeba wierzyć, że i nie całkiem daremna.

VI

NAIWNA WIARA EUTYFRONA ROZBRAJA KRYTYCYZM SOKRATESA

Eutyfron, ciągle pewny siebie, kompromituje się mocno, bo nie rozumie, że pytają go najwyraźniej o ogólne ujęcie sprawy i zadowala się przytoczeniem poszczególnego przykładu. Prócz tego przytacza legendy i podania religijne z naiwną, bezkrytyczną wiarą, niby fakty historycznie ustalone.

Kompromituje też mimochodem i tradycyjne podania, bo potrąca o takie, które obrażają naturalne poczucie etyczne a mimo to, cieszą się czcią. Już dawno gorszył się niemi Ksenofanes, już miał na nie wyrobiony pogląd każdy, kto czytał; wieszczek musiał jednak mało czytywać.

W pierwszych jego słowach są akcenty fanatycznej zawziętości rytualnej. W argumentacji zabawna zarozumiałość w zestawieniu: kiedy o bogach mówią i o mnie.

Sokrates ostrożnie objawia swój agnostycyzm w sprawach bogów i osłania go skromnością. Próbuje obudzić jakiś odruch krytyczny u Eutyfrona, ślad zastanowienia, ale usiłowania daremne. Pobudza tylko gadatliwość towarzysza, od której bronić się musi pierwszemi słowami rozdziału następnego.

Zasługuje na uwagę ta ostrożność i delikatność, z jaką Sokrates traktuje naiwną wiarę wieszczka. Filozof pyta go tylko swoim zwyczajem, ale nie mówi nigdzie wprost, co myśli o wierze Eutyfrona. Sokrates miał niewątpliwie to przekonanie, że Eutyfron wierzy w nonsensy, że wiara jego to szereg sądów mylnych. Inaczej nie mówiłby tym tonem, nie przytaczałby malowanek na peplosie Ateny i nie odkładał anekdotek religijnych na drugi raz.

Czemuż tedy on, którego powszechnie mają za fanatycznego apostoła prawdy ogranicza się do sceptycznych pytań?

Prawdopodobnie zostaje to w związku z tem, że Sokrates nigdy nikomu zdania swego nie narzuca, tylko wydobywa zdania z ludzi, jeśli są na tyle zdolni, że się z nich rozumne zdanie, da wydobyć. Tu czuje, że daremnie pukać do krytycyzmu tępej głowy.

VII PIERWSZA DEFINICJA

Po długich trudach zaczyna Eutyfron powoli pojmować, o co idzie i daje pierwszą definicję: to co zbożne — to miłe bogom. Głęboko w nim zakorzenione to pojęcie; wieszczek wróci do niego, mimo wszystko, co z jego analizy wyniknie.

VIII

Eutyfron przyjął jako założenie stosunek sprzeczności między tem, co zbożne i co bezbożne. Czyli twierdzenie, że żaden czyn zbożny nie jest bezbożny i naodwrót. Tymczasem pojmuje bóstwa po ludzku, wierzy w walkę między niemi i stąd wynika dlań niepokonana trudność. Wynika to, że bywają pewne czyny zbożne i bezbożne zarazem, co się sprzeciwia jego założeniu.

Monoteizm usuwa tę trudność. Jeden Bóg nie może zwalczać sam siebie i potępiać tego, co sam innym razem zalecał. Różnice zaś w nakazach bóstwa dawnych i nowych tłumaczą apologeci względami na szczególne okoliczności, innemi czasami, wyższemi celami Opatrzności, ułomnością natury ludzkiej i t. d. Grecki myt politeistyczny nie dał się żadną miarą nawet i tak obronić ze stanowiska etyki.

Sokrates zwraca uwagę na to, że różnice między ludźmi w sprawach dobra i zła nie sięgają zbyt głęboko. Ludzie różnią się tylko co do zastosowania zasad etycznych w tym lub owym wypadku, ale na pewne ogólne zasady etyczne godzą się wszyscy. Gdyby to samo przyjąć i u bogów, możnaby określenie zbożności tak zacieśnić, że uniknęłoby się zawartej w niem sprzeczności. Warto pomyśleć czy wiele jest takich zasad etycznych, któreby uznawali wszyscy. IX

Sokrates tedy proponuje ostrożnie poprawkę do definicji a mianowicie: zbożne, to, co wszystkim bogom miłe. X DRUGA DEFINICJA

Eutyfron przyjmuje proponowaną poprawkę bezkrytycznie i uważa ją za swój własny wynalazek, co mu Sokrates nieznacznie w ostatnich słowach rozdziału wytyka. XI

Ten i następny rozdział nie należą do najjaśniejszych, ani najprostszych. I niewiadomo, czy Sokrates stara się w nich być jasnym i prostym, czy też raczej umyślnie zbija z tropu wieszczka, ostrzeliwując go pytaniami i porównaniami, w których on ani związku, ani sensu pochwycić nie może. XII

Tok myśli zdaje się być taki: Eutyfron przyjął sympatję wszystkich bogów za istotę a zarazem przyczynę zbożności ludzkich czynów. Zbożność, więc pewną etyczną wartość postępowania ludzkiego uzasadniał nieodpowiedzialnem upodobaniem bóstw. Gdyby się bogom były przypadkiem podobały czyny nie te, ale wprost przeciwne, czy jakiekolwiek inne, to inne byłyby wówczas zbożne i dobre, choćby to miało być ojcobójstwo np., albo kradzież.

Sokrates natomiast uważa, że upodobanie bogów jest co najwyżej skutkiem a nie przyczyną zbożności pewnych czynów. Ponieważ zaś skutek jest czemś innem, niż przyczyna, przeto i upodobanie bogów jest czemś innem, niż zbożność ludzkich czynów.

Podstaw etyki nie należy wobec tego szukać w mytach i sympatjach bóstw, tylko gdzieś indziej. Wartość etyczna ludzkich czynów nie zależy od sympatji bogów, raczej na odwrót: sympatja bogów rozumnie pojętych powinna zależeć od dodatniej wartości ludzkich czynów.

XIII Upodobanie bóstw i zbożność to dwie rzeczy różne, które się tylko przypadkiem łączą w wielu wypadkach, a mianowicie wszędzie tam, gdzie myt wymyślono poczciwy a niegłupi. Istota zbożności wymaga dalej wyjaśnienia i ujęcia. W szeregu zdań zawiłych i nieznośnych stylowo przeprowadza Sokrates przeciwstawienie między pojęciem tego, co miłe bogom i tego, co zbożne. Zdania jakby umyślnie na to obliczone, żeby przeciwnika zmieszać i ogłuszyć. Przypomina się ustęp z „Chmur“ Ary-

stofanesa, w którym Sokrates wedle następującego przepisu prowadzi dyskusję:

„Wstępne pocznij nauczanie:
We łbie dobrze mu pomieszaj,
Potem pytaj go o zdanie!“

Eutyfron, istotnie, ani myśli schwycić, ani jej sformułować nie może, a czuje, że poprzednie sformułowania zostały zbite i w niwecz obrócone. Twierdzenia zaczynają mu „chodzić“. Tak mówiono o rzeźbach mitycznego Dajdala, który miał pierwszy u swych figur rozstawić nogi i ręce, odpowiednio do ruchu człowieka idącego i otworzyć im oczy, które dawniej rzeźbiono jakby zamknięte, a nogi i ręce traktowano wraz z tułowiem jako jedną sztywną masę.

Sokrates, zawodowy rzeźbiarz i syn rzeźbiarza nazywa Dajdala swym przodkiem.

Zbitego z tropu wieszczka zaczyna teraz filozof otwarcie prowadzić za rękę w dyskusji i tem się zaczyna

b) CZĘŚĆ POZYTYWNA

SPRAWIEDLIWOŚĆ PONAD ZBOŻNOŚCIĄ

„To co zbożne“ okazuje się najpierw pojęciem podporządkowanem pod pojęcie „sprawiedliwości“. Zatem wszystkie czyny zbożne są czynami sprawiedliwymi, a niektóre czyny sprawiedliwe są zbożne. Sprawiedliwość stanowi „genus proximum“ zbożności.

Krok w rozważaniach ważny, bo tem samem nie mogą już mieć pretensji do zbożności wszelkie czyny niesprawiedliwe, choćby były wzorowane na

sprawkach samego Dzeusa, choćby się nawet niewiadomo jakim bóstwom podobały! I chcąc rozstrzygnąć teraz, czy jakiś czyn jest zbożny, czy nie, potrzeba sobie naprzód zdać sprawę z tego, czy jest sprawiedliwy, jeśli nie, to niema mowy o jego zbożności.

Sprawa się przenosi z krainy mytów i dowolnostek boskich w zakres jakiś bliższy, jaśniejszy, bardziej konsekwentny, byleby tylko o sprawiedliwości mieć pojęcie jasne i niewątpliwe.

Analizy sprawiedliwości Platon tutaj nie przeprowadzi; ograniczy się tylko do dalszego zacieśnienia pojęcia tego, co zbożne w zakresie sprawiedliwości.

XIV Po objaśnieniu Sokratesa na przykładzie wziętym z arytmetyki, co jest t. zw. differentia specifica, podaje Eutyfron różnicę gatunkową zbożności i określa zbożność ściśle jako tę część sprawiedliwości, która dotyczy służby około bogów. Jest to już trzecia z kolei definicja, do której doszedł pod kierunkiem Sokratesa, ale pierwsza dopiero, którą i Sokrates przyjmuje. Mieści się w niej jednak pewna cecha nowa, która wymaga rozbioru. A mianowicie **służba** około bogów. Co **to** ma znaczyć?

POCZĄTEK DOBREJ DEFINICJI

XV Służba boża, jako praca na pożytek fizyczny lub moralny bogów, okazuje się nonsensem, który sam Eutytron odrzuca. Tak pojęta służba nie dałaby się pogodzić z doskonałością i szczęściem bogów. Zostaje tedy służba pojęta jako **posłuszeństwo** bogom, poddanie się ich władzy. Ten krok musiał nieco kosztować Eutyfrona, bo w popularnych daw-

nych wierzeniach greckich bogowie mieli jednak pewien pożytek z woni ofiar i przyjemność przytem niemałą. Drwi z tego Arystofanes w Uczcie platońskiej, ale to przekonanie, że ofiary i obrzędy religijne jednak pewną przyjemność sprawiają istotom nadziemskim, przetrwało i Arystofanesa i Platona.

XVI

Posłuszeństwo, poddanie się władzy czyjejś, jeśli ma mieć sens jakiś, musi być koniecznie na jakiś rozumny cel obliczone. Zatem pytanie i tu nasuwa się, poco właściwie i na co słuchać bogów i poddawać się ich władzy.

Na to pytanie Eutyfron nie znajduje jasnej odpowiedzi; wierzy tylko, że pobożność jest pożyteczna. Ale też o to tylko szło.

Sokrates sam byłby pewnie inaczej nie odpowiedział i byłby przyjął jako wystarczające zamknięcie definicji to, że posłuszeństwo wobec bogów jest obliczone na p o ż y t e k czyli na d o b r o ludzi publiczne i prywatne.

DEFINICJA ZUPEŁNA I JEJ ROZBIÓR

Definicja zupełna, do której tuż tuż dochodził Eutyfron, byłaby wyglądała tak mniej więcej: „Zbożny jest każdy taki czyn sprawiedliwy, który wynika z posłuszeństwa bogom obliczonego na pożytek ludzki".

Tym sposobem ostateczną instancją zbożności byłby pożytek, dobro ludzi, a nie upodobania i widzimisię mitycznych bóstw.

Że Sokrates ma taką definicję na myśli, to zdaje się wynikać z pierwszych jego słów w rozdziale XVII, w których odpowiedzi Eutyfrona zarzuca jedynie tylko rozwlekłość, ale nie robi jej za-

rzutów rzeczowych, zaczem treść jej uważa za słuszną.

W świetle takiej definicji zbożności człowiek, któryby się kierował w postępowaniu pobudkami nadprzyrodzonemi, któryby więc postępował w pewien sposób dla posłuszeństwa bogom a nie przyświecałby mu jako cel tego posłuszeństwa pożytek ludzki, jeśliby pobudką czyjegoś postępowania było posłuszeństwo ślepe, bezkrytyczne, wszystko jedno do czego zmierzające, taki człowiek nie byłby typem zbożnym.

A więc np. pomóc komuś w biedzie, w chorobie, wydobyć go z nieświadomości, przekonać go o jego głupocie, zrobić go lepszym człowiekiem dlatego, że tak bogowie każą, to znaczy postępować zbożnie. Tak postępuje Sokrates, który się w „Obronie“ wyraźnie powoła na religijne pobudki swego postępowania.

Natomiast zaszkodzić komuś, zrobić go biedniejszym, głupszym lub gorszym dlatego, że tak bogowie każą, to znaczy postępować niezbożnie.

Takim się okazuje Eutyfron, który dla posłuszeństwa, czy dla przypodobania się bogom, aby się nie splamić rzekomą skazą współwiny z ojcem, nastaje na jego życie bez żadnego względu na to, czy jego postępek legalny przyniesie jakieś dobro, jakiś pożytek komukolwiek, czy nie.

Mógłby się tu wieszczek bronić, mówiąc, że uznaje i ceni dobra i pożytki nadprzyrodzone a do takich wartości wyższych zalicza swój stan przyjaźni z bogami, którego za żadną cenę utracić nie

chce choćby nawet, to miało kosztować życie jego ojca.

Mógłby mówić, że, wnosząc skargę na ojca, pilnuje porządku prawnego, który jest wyższem dobrem, większym pożytkiem dla społeczeństwa, niż życie jednej jednostki.

Mógłby podnieść to, że nie jego rzeczą rozstrzygać, czy skarga przeciw ojcu jest obliczona na dobro i pożytek ludzki, czy nie, tylko rzeczą bogów najdoskonalszych, w których wierzy i którym ufa, że musieli przecież o tem sami pomyśleć, zanim ludziom odpowiedni nakaz wydali, a krótki rozum ludzki nie zawsze potrafi pojąć i potwierdzić niedocieczone wyroki Opatrzności.

Platon i Sokrates znają także wartości moralne cenniejsze, niż życie, znają też paradoksalne nakazy bóstwa, ale wykręty nie podniosłyby Eutyfrona w naszych oczach. Płynęłyby z głowy, żaden z serca. I to może będzie największa różnica między zbożnością Eutyfrona i Sokratesa. Możliwość tych „wykrętów", świadczy tylko o tem, że Platon w tym djalogu nie ujmuje istoty zbożności wystarczająco. Definicja jego nie może służyć jako kryterjum zbożności danego czynu, bo nie jest dostatecznie jasna. Trudność leży w pojęciu „pożytku, czy dobra, które różni różnie biorą i w tem, kto ma o pożyteczności czynów rozstrzygać, człowiek sam, państwo, bóstwo, czy kto?

Być może, Platon sam odczuwał braki na tych punktach i może stąd tylko mimochodem niejako potrąca o definicję zbożności, która wydaje się

jednym z celów djalogu. Nic dziwnego, że trudności miał. Sokrates, to była, zdaje się, natura religijna, a umysł krytyczny. Jeszcze bardziej Plato. Ten bliski nieraz sceptycyzmu jest w pewnym kłopocie, kiedy mu przychodzi określać dodatnio „zbożność"!

Wieszczek mimochodem rzuca słowa, w których Sokrates odnajduje jedno nowe i drugie odrzucone już, pojęcie zbożności, jakie Eutyfron, mimo wszystko żywi.

c) KRYTYKA ZBOŻNOŚCI POWIERZCHOWNEJ

XVII

INNE POJĘCIE ROZPOWSZECHNIONE

Nowa, czwarta już z ust wieszczka wydobyta definicja brzmi: zbożność, umiejętność dotycząca próśb i darów w stosunku do bogów. Stara, która wraca: robić to, co bogom przyjemne.

XVIII

Zbożność, pojęta jako umiejętność składania ofiar i odprawiania modlitw, nie da się pogodzić z doskonałością bóstw, dobrocią, szczęściem i mądrością. Jako jedyny sens i pobudka modlitw i ofiar dająca się pojąć, zostaje wdzięczność wobec bogów. Modlitwy i ofiary można konsekwentnie pojmować tylko jako potrzebę serc wierzących. Potrzeba ich tylko ludziom, którzy w bogów wierzą; nie potrzeba ich bogom.

Eutyfron, mimo tych wszystkich rozstrząsań, wraca jednak do swego pierwotnego stanowiska. Rozstrząsania przeprowadzone nie tknęły go widać zupełnie. Wogóle djalog jest znacznie silniejszy pod względem psychologicznym, obyczajowym, krytycznym, niż jako pozytywna teorja zbożności.

Żarty Sokratesa i widoczne lekceważenie dla tępoty zarozumialca. Wieszczek mienić się musi i oglądać, którędyby umknąć. Sokrates za to nazwie go Proteuszem. XIX

Imię to nosił bożek morski, który mieszkał na wyspie Faros na wybrzeżu Egiptu a posiadał dar przepowiadania. Przepowiadał jednak tylko temu, kto go do tego zmusił. Schwycić było go bardzo trudno, bo przyciśnięty, przemieniał się w bóg wie co, chyba że się go przedtem związało.

d) ZAKOŃCZENIE

Otwarta nagana w stronę Eutyfrona, który się ważył podejmować z lekkiem sercem czyn o wielkiej doniosłości etycznej, nie zgłębiwszy przedtem istoty tego, co zbożne i nie doznawał skrupułów religijnych, rodzinnych, towarzyskich, ludzkich. Te ostatnie wyrzuty, być może, najcięższe w ustach filozofa. Postać Eutyfrona cechuje nie tylko brak głowy — tenby można wybaczyć, ale znacznie gorszy — brak serca. XX

INTELEKTUALISTA SOKRATES BRONI INTUICJI ETYCZNEJ

OBRONA SOKRATESA

WSTĘP

STRÓŻ PRAWA PRZECIW BEZPRAWIU PRAWODAWCÓW

Ostatni triumf odniosły Ateny nad Spartą na morzu koło wysp Arginuzów niedaleko Lesbos w r. 406. Nieszczęście chciało jednak, że zwycięskim dowódcom floty ateńskiej burza nie pozwoliła pozbierać i pochować trupów, jakie na falach po bitwie zostały, zaczem ich po powrocie do Aten oskarżono i rzecz przyszła pod obrady Zgromadzenia ludowego, które się prawie co tygodnia w stolicy zbierało i załatwiało wszystkie ważniejsze kwestje publiczne.

Sprawa była ważna. W grze były i religijne uczucia ludu i patrjotyczne. Zwłoki zwycięskich obrońców ojczyzny roznosiły mewy z Lesbos; więc dusze ich nie mogły spokojnie odpłynąć do Wysp Szczęśliwych i hańba spadała na miasto.

Zgromadzenie było bardzo burzliwe. Padł wniosek, żeby wszystkich wodzów sądzić za jednym zachodem i rozstrzygać sprawę en bloc. Wniosek nie był w zgodzie z prawem, które nakazywało rozsądzać sprawę każdego z osobna, ale był popularny: tylko nie robić różnic za wiele, ambicja patrjo-

tyczna wymagała ofiar. Sprzeciwiać się wnioskowi znaczyło narażać się na zarzut zdrady stanu.

A jednak powstał na tem Zgromadzeniu przewodniczący mu owego dnia obywatel, człowiek ubogi, stary i ośmieszony publicznie, choć niezmiernie szanowany przez najbliższych duchem i młodzież, Sokrates i nie dopuścił do uchwalenia wniosku, mimo okrzyków tłumu i głośnych zarzutów zdrady. Stanęło na tem, że sprawę odroczono do drugiego dnia. Na drugi dzień przewodniczącym wylosowano już kogo innego, uchwalono wniosek wczorajszy i sześciu obecnych w Atenach wodzów floty ukarano śmiercią, a dobra ich skonfiskowano.

Na to już Sokrates poradzić nie mógł. Był już tylko zwyczajnym prytanem, to zn. urzędującym przez 36 dni wraz z 49 innymi obywatelami, członkiem Wielkiej Rady.

PRYTANIJE

Pięciuset członków Wielkiej Rady wybierano losem co roku po pięćdziesiątce w każdej z dziesięciu grup obywateli ateńskich. Wylosowanym mógł być każdy, kto tylko skończył 30 lat życia i miał pełne prawa obywatelskie. Wedle losu też urzędowały poszczególne pięćdziesiątki kolejno przez 35 lub 36 dni każda. Urzędujący za każdym razem obywatele nazywali się prytanami. Siedzieli cały dzień w t. zw. okrągłym domu pod kopułką, gotowi do rozstrzygania wszystkich nagłych i pomniejszych spraw państwowych. Większe musiały czekać do Zgromadzenia ludowego, które się odbywało co najmniej 40 razy w roku. Z pośród prytanów znowu losem wybierano codzień innego przewodniczącego, który

przez jedną dobę miał pod opieką klucze od skarbca i archiwum państwowego, oraz wielką pieczęć miasta. Dłużej niż dobę prawo nie pozwalało zachowywać tej godności, a podobnie nie było wolno dwa razy być przewodniczącym w ciągu jednej i tej samej kadencji, czyli prytanji.

Tak troskliwie broniły się Ateny przeciw wszelkim próbom skupienia i zatrzymania władzy w ręku jednego człowieka lub jakiejkolwiek grupy jednostek, choćby nawet najlepszych i najzdolniejszych.

FERMENT INTELEKTUALISTYCZNY

Demokracja ateńska musiała się pilnować tem bardziej, że w mieście były grupki i kluby ludzi młodych, którzy z ironją i pogardą patrzyli na tych wylosowywanych rajców, sędziów, wodzów i ojców ojczyzny, a sympatyzowali ze Spartą, w której nie rządził „ktobądź". Wiedziano w Atenach, kto to tak krytycznie nastraja młodych ludzi, kto spędza ranki w salach gimnastycznych na mędrkowaniu z młodymi, którzy nie filozofować powinni, ale szanować istniejący ustrój ojczysty i służyć mu bezkrytycznie. Sokrates nawet się nie krył z pochwałami dla ustroju państwowego Sparty, Teb, Megary, Krety; samych arystokratycznie urządzonych państw. Żarliwi demokraci ateńscy mieli na niego oko już oddawna. Blisko ćwierć wieku minęło, kiedy go po raz pierwszy Arystofanes pokazał w swoich Chmurach w r. 423 i napiętnował jako figurę komiczną, bezgranicznie zarozumiałą a gorszącą młodzież, jako szkodnika w ojczyźnie.

SOKRATES W ZWIERCIEDLE KOMEDJI

Pamiętali wszyscy, jak to w owych Chmurach ordynarny i z chytra głupawy szewc, Wykrętowic,

któremu bóg dał z żony arystokratki syna sportsmena i utracjusza, pragnie się pozbyć długów; wlazł w nie przez rozrzutność syna. Stara się namówić gagatka, żeby poszedł na naukę do Pomysłowni Sokratesa, budy, w której mędrzec z gromadą obdartych i wygłodniałych uczniów bada przesubtelnym rozumem tajemnice ziemi i nieba, słońca, księżyca, deszczu i piorunów. Uwieszony pod sufitem w koszu, gdzie powietrze rzadsze korzystniej wpływa na jego przedelikatny mózg, nie uznaje bogów ojczystych, jego bogami chmury, tak mętne i nieuchwytne, jak i jego gadanie.

Szewc odżałowałby na naukę, ale syn nie chce o niej słyszeć; zaczem ojciec sam się do Pomysłowni puszcza i oddaje filozofowi na naukę, niby bydlę ofiarne na rzeź. Za głupi jednak, więc go z Pomysłowni pędzą, a syn daje się przecież do wstąpienia namówić i wraca taki „wykształcony“ że, obiwszy rodzonego ojca, w pierwszej z kolei sprzeczce, dowodzi jeszcze ze stanowiska ogólnego, że najsłuszniej w świecie postąpił.

Zrozumiał szewc, że mu nowoczesny mędrzec syna popsuł; zbiera tedy sługi i podpala Pomysłownię wraz z jej mieszkańcami.

W tej komedji popularnej Sokrates otrzymał rysy karykaturalne, których nigdy nie miał w rzeczywistości, ale na tem się nie umiał poznać pierwszy lepszy członek Wielkiej Rady i Zgromadzenia ludowego, tem bardziej, że widywał Sokratesa częściej na scenie w komedjach Ameipsiasa, Eupolisa, Kratinosa, które się nie dochowały do naszych czasów.

Sokrates nie miał przecież instytutu wychowawczego, jak je z reguły mieli uczeni współcześni i nie pobierał żadnych taks za naukę. Taksy brał taki np. Gorgjasz z Leontinjów, kiedy pomyślnie załatwiwszy w Atenach poselstwo od swego miasta rodzinnego (prosił o pomoc przeciw Syrakuzom), przyjął szereg prywatnych lekcji wymowy po 100 min srebrem czyli po 9000 koron, co przy ówczesnych niezmiernie niskich cenach i wysokiej stopie procentowej stanowiło gruby majątek. HONORARJA WYCHOWAWCÓW

Brał piękne honorarja Hippiasz z Elis, który się sam chwalił, że przyjechawszy do Sycylji i zastawszy tam znacznie od siebie starszego i sławnego Protagorasa, w krótkim czasie zarobił lekcjami 150 min, czyli co najmniej 13.500 koron, a z jednego jedynego miasteczka Inykos wywiózł więcej jak 20 min, czyli 1800 koron. (Mina srebra miała sto drachm, a drachma odpowiadała mniej wiecej koronie). Tanio uczył retor i autor poetyki wierszowanej Euenos, który brał tylko 450 koron za naukę.

O bezinteresowności Sokratesa jednak wiedzieli przedewszystkiem najbliżsi; po mieście różnie musiano o tem mówić, bo czy to jeden chodzi bez butów a srebro trzyma w sienniku?

Sokrates odwodził młodych ludzi od studjów przyrodniczych, dla których zachowywał mimo to wielki szacunek, o ile je ktoś poważnie uprawiał, a zwracał umysły do kwestji psychologicznych, etycznych i społecznych; na tem właśnie polega jego rola w dziejach filozofji, ale o tem nie wiedziały szerokie koła, tym było dość obojętne to, NIE ROZUMIANO GO NA MIEŚCIE

co on mówi, chodziło o to, że „mędrkować“ uczy po mieście, a to rzecz niebezpieczna.

Sokrates rozumował niezmiernie jasno i poprostu, ale z tego zdawali sobie sprawę tylko ci, którzy słuchali i rozumieli a nie „szerokie koła“.

Sokrates miał wysoko rozwinięte naturalne poczucie tego, co się godzi i nie godzi np. w stosunku do rodziców w przeciwstawieniu do Eutyfronów różnego rodzaju, ale i o tem żeby wiedzieć, trzeba go było znać bezpośrednio, a nie tylko ze słuchu i nie wnosić o nauczycielu z postępowania jego młodych przyjaciół. Ci go niekiedy kompromitowali.

NAJBLIŻSI GO KOMPROMITOWALI

Wszyscy jeszcze pamiętali ów ranek przed laty piętnastu, kiedy zauważano ku publicznemu zgorszeniu i zgrozie, jak fatalnie a humorystycznie ktoś niestary widać, a bezbożny, poobtłukiwał w nocy wszystkie posągi Hermesa wzdłuż ulic miejskich. Powszechny głos opinji publicznej wskazywał wtedy Alkibiadesa jako sprawcę świętokradztwa. Ten niedowiarek, zdolny „do wszystkiego“, urządzał sobie przecież w domu na żart mysterja eleuzyńskie, a należał do najserdeczniejszych przyjaciół i czcicieli „ulicznego sofisty“ Sokratesa.

W jego towarzystwie widywano nieraz i strasznej pamięci Kritiasa, który przed paru laty jako najwybitniejszy z pośród trzydziestu arystokratów próbował cios śmiertelny wymierzyć demokracji ateńskiej z pomocą znienawidzonej Sparty. Pamiętano dobrze, jak ten, były dobry znajomy Sokratesa, na prawo i na lewo rozsyłał wyroki śmierci i konfiskaty dóbr na dobrych demokratów, wiedziano, ilu ludzi padło

za jego sprawą, ilu poszło z torbami w tych okropnych ośmiu miesiącach przed czterema laty, kiedy na Akropolis siedział dowódca spartański z załogą, a co było najlepszego w mieście, musiało do Beocji uciekać i tam gotować po cichu odsiecz przeciwko Trzydziestce.

Odsiecz powiodła się na szczęście pod dowództwem Thrasybulosa; od strony portu wzięto miasto z powrotem i Kritias padł w walce. Reszta osławionej Trzydziestki ledwie z życiem uszła pod skrzydła Sparty.

I znowu zaczęły się odbywać Zgromadzenia ludowe na Pnyksie i sądy przysięgłych w rynku, a w okrągłym domu urzędowali znowu, jak dawniej, prytani. W mieście zaczęło się załatwianie prywatnych porachunków i donosicielstwo polityczne pod pozorem dbania o dobro państwa.

Sokrates nie był skompromitowany bezpośrednio; wiedziano, jak dzielnie stawał przed dwudziestu dwu laty jako hoplita w bitwie pod Amfipolis, pod dowództwem wojowniczego garbarza Kleona, przeciw wojskom spartańskim, a dwa lata przedtem przeciw Beotom koło świątyni Apollina pod Deljon — poza tem, on się wogóle do polityki nie mieszał, ale i tę okoliczność umiały złe języki przeciw niemu wyzyskać.

POGRĄŻAŁ SIĘ SAM Z KONIECZNOŚCI

Sokrates nie umiał „żyć z ludźmi", szczególniej z ludźmi głupimi; zrażał ich sobie na każdym kroku, a że mądrych było jak zawsze niewielu, a ustrój państwa nawskróś demokratyczny, musiał się tedy grunt pod nogami filozofa usuwać coraz bardziej.

Wiedział o tem, jak na niego patrzą, ale postępowania nie zmienił. W dalszym ciągu, jak za dawnych czasów, nawiązywał swoje klasyczne rozmowy z fachowcami, obliczone przeważnie na to, żeby z interlokutora wydobyć uznanie własnej niewiedzy. Postępowanie bardzo miłe i pożyteczne, o ile chodzi o rozbudzanie myśli w młodym, zdolnym człowieku, ale nieznośne i niebezpieczne, o ile się ma do czynienia z tępym, starym i szanowanym obywatelem, który ma wpływy.

To była jednak nieprzezwyciężona pasja Sokratesa. On sam, umysł niezmiernie jasny, prosty i krytyczny, z łatwością zdawał sobie sprawę z ogromnych trudności, jakie się nastręczają każdemu, kto szuka trafnego uogólnienia w jakiejkolwiek dziedzinie faktów, kto uogólnienia zdobyte usiłuje ściśle w słowa ująć i pogodzić je między sobą.

Stąd też głośno się przed wszystkimi do tego przyznawał, że w sprawach dotyczących ducha ludzkiego, w rzeczach dobra i zła on tylko wie, że „nic nie wie". Z tego był sławny.

To powiedzenie obiegało jako zabawny paradoks. A musiało być znane już oddawna i kapłanom Apollina w Delfach i musiało się im podobać, skoro na zapytanie narwanego nieco wielbiciela Sokratesa Chajrefonta, czy istniałby ktoś mądrzejszy od mędrca, który wiedział, że nic nie wie, ułożyli odpowiedź bóstwa, niewiadomo, czy zupełnie poważnie zamierzoną:

Sofokles mądry jest; mądrzejszy Euripides
A z pośród wszystkich ludzi Sokrates najmądrzejszy.

Ta pochwała delficka stała się Sokratesowi bodźcem do budzenia samokrytyki w ludziach, pracy bardzo niewdzięcznej.

Praca ta wydawała mu się jednak piękną i dobrą, działaniem w imię światła i zdrowia duchowego, a więc, służbą Apollina.

NAJBARDZIEJ RELIGIJNY CZŁOWIEK W KOLIZJI Z RELIGJĄ PAŃSTWA

Taką przenośnią posługiwał się w myśleniu i w mowie, ale nie wynikało z tego, żeby wierzył we wszystkie ludowe podania o Apollinie. Prawowiernym Grekiem nie był, antropomorfizmów popularnych nie brał serjo, ale był człowiekiem głęboko religijnym z natury, bo odczuwał nad sobą moc wyższą, potężną i dobrą, której się czuł pomocnikiem i narzędziem.

Wszystko jedno, czy tę moc ktoś Apollinem nazywał, czy Dzeusem ojcem, czy ją sobie jako chór olimpijski przedstawiał, czy też raczej jako jedną jedyną istotę.

Niczego bliższego o bogach nie wiedział i wiedział, że wiedzieć nie mógł, więc się nie bawił w dociekania religijne, szukał tylko pogłębienia uczuć religijnych.

Boski głos ducha bożego czuł w sobie samym, za przestrogi ducha opiekuńczego uważał nieuzasadnione bliżej chwilowe postanowienia woli, które się w skutkach okazywały nieraz pożyteczne.

Mówił o tem często i wiedziano w Atenach, że Sokrates ciągle się na jakiegoś ducha powołuje, a niewiadomo było bliżej, co to za duch miał być właściwie.

Wszystko razem pachło mocno niedowiarstwem, jak to zwyczajnie u filozofów, a mogło też uchodzić za oczywiste zgorszenie młodzieży.

Toteż, kiedy szło o pozbycie się Sokratesa i przykładne ukaranie jego działalności, niedługo się musieli jego oskarżyciele namyślać, o coby go zaczepić i jak oskarżenie sformułować.

Moralnym autorem skargi był Anytos, wzbogacony garbarz ateński, który miał dawne porachunki z filozofem i jego najbliższymi. Przed laty umizgał się do Alkibiadesa, ale go ten elegant wyśmiał.

Później robił Anytos karjerę polityczną w Atenach i miał duże powodzenie. W roku 409 przed Chr. wysłały go nawet Ateny na czele floty z trzydziestu okrętów złożonej, przeciw Spartanom, którzy się byli wyprawili przeciwko Pylos. Nie udało mu się jednak opłynąć przylądka Malea, zaczem wrócił do Aten, gdzie go zaraz oskarżono o zdradę. Anytos umiał sobie radzić w gmachu sądowym lepiej, niż na pełnem morzu. Przekupił, po prostu, sędziów i przysięgli uwolnili go od winy i kary.

Za rządów trzydziestu tyranów poszedł wraz z innymi obywatelami na wygnanie a z Trazybulem wrócił do Aten. Syna chował na garbarza, ale chłopak miał być bardzo zdolny i ciekawy i za Sokratesem biegał, zamiast pilnować juchtów i dębowej kory. Sokrates nie krył się z tem przed Anytosem, że garbarnia nie jest całkiem idealną szkołą dla młodych umysłów i serc, czem sobie ostatecznie zraził przemysłowca. Obrażony Anytos zapłacił mizernego poetę Meletosa, autora jakiejś zaginionej tragedji p. t. Oidipodeia, żeby się zajął sformułowaniem i wniesieniem skargi przeciw Sokratesowi. Sam podpisał ją wraz z retorem Lykonem.

Tekst zaprzysiężonego oskarżenia, który miał być jeszcze w drugim wieku po Chr. przechowywany w ateńskiem archiwum państwowem w świątyni Kybeli, zwanej Metroon, brzmiał:

> O to zaskarżył pod przysięgą Meletos, syn Meletosa z Pittos Sokratesa syna Sofroniska z Alopeków: Zbrodnię popełnia Sokrates, bogów, których państwo uznaje, nie uznając, inne zaś nowe duchy wprowadzając; zbrodnię też popełnia, psując młodzież. Kara śmierci.

Jak widać oskarżyciel, zgodnie z prawem ateńskiem, przedłożył w skardze projekt kary.

Jeżeli oskarżonego większością głosów uznano winnym, mógł oskarżony albo przyjąć karę proponowaną, albo ze swej strony przedstawić projekt innej, któraby mu więcej odpowiadała. W tej sprawie wolno mu było po nieudałej obronie i zapadłym werdykcie „winien", przemawiać raz jeszcze i odpowiedni wniosek uzasadniać. Po tej drugiej mowie, sędziowie większością głosów rozstrzygali, czy miała być wykonana kara, którą proponował oskarżyciel, czy ta, którą wolał oskarżony. Tak też i Sokrates przemawiał w swej obronie po raz pierwszy przed werdyktem w sprawie winy, po raz drugi po werdykcie, podając wniosek dotyczący kary i króciutko po raz trzeci, żegnając się ze sędziami po wyroku śmierci.

Sąd przysięgłych, przed którym stawał Sokrates, nazywał się Helijarja, składał się z pięciuset, losem wybranych sędziów. Losowano ich corocznie z po-

śród wszystkich, co najmniej trzydziestoletnich obywateli. Rozprawa odbywała się w jednym z dziesięciu trybunałów w rynku. Każdy z sędziów miał jako oznakę swego urzędu laskę z literą danego trybunału i bronzową odznakę z głową Gorgony, jako herbem państwa, numerem danego trybunału i nazwiskiem sędziego. Po skończonem posiedzeniu otrzymywał każdy sędzia przy wyjściu z trybunału, taksę sądową w kwocie trzech oboli, czyli mniejwięcej pół korony z kasy państwowej.

Apelacji od wyroku tego sądu nie było w sprawach wykroczeń przeciwko państwu, a o to właśnie był oskarżony Sokrates.

Rozprawę poprzedzało śledztwo wstępne, które prowadził Archon Król. Tekst skargi wisiał czas jakiś na tabliczce przed gmachem sądowym. W oznaczonym terminie jawili się oskarżyciel i oskarżony w sądzie, ewentualnie w towarzystwie świadków i obaj składali przysięgę. Pierwszy stwierdzał w ten sposób winę oskarżonego, a ten znowu swoją niewinność. Obaj składali teraz pewną taksę na koszta sądowe i przedkładali w danym razie pisemne dowody winy względnie niewinności. Wszystkie należące do procesu dokumenty przechowywano pod pieczęcią aż do dnia rozprawy.

Na samej rozprawie, naprzód pisarz odczytywał tekst skargi i odpowiedź oskarżonego, poczem z podniesionej mownicy przemawiali oskarżyciele i odpowiadał im stamtąd oskarżony.

Czas przemówień był ograniczony; mierzono go z pomocą klepsydry, czyli zegaru wodnego. Strony

mogły bądź to przemawiać osobiście, bądź też po kilku słowach nawiązania odstępowały swój głos adwokatowi.

Przerywać mowcy mogli tylko sędziowie, jeżeli strona odbiegała od tematu, albo też punkt jakiś przemówienia nie był któremu z sędziów dość jasny. Każdy mowca mógł stawiać przeciwnikowi pytania, a ten był prawnie obowiązany odpowiadać.

Zrazu zakazane, utarło się jednak z czasem, wprowadzanie na salę rodziców, krewnych, kobiet i dzieci, których jęki, płacze i błagania miały miękczyć twarde serca sędziów. Oskarżony, jeśli był sprytny, umiał też i sam odpowiednio grać na nerwach trybunału.

Bezpośrednio po obronie oskarżonego przystępowali sędziowie na wezwanie woźnego do tajnego głosowania nad winą podsądnego. Głosowano zapomocą czarnych i białych lub pełnych i przedziurawionych kamyków, muszel, bobów lub tabliczek, które wrzucano do urny z bronzu, podczas gdy znaczki nieważne wrzucano do urny drewnianej. Głosy liczono na stole kamiennym; rozstrzygała większość absolutna. W razie równości głosów szala przechylała się tem samem na korzyść oskarżonego.

Jeśli oskarżyciel nie miał po swojej stronie przynajmniej piątej części głosów, musiał swą lekkomyślną skargę odpokutować grzywną tysiąca drachm i tracił na przyszłość prawo do wnoszenia skarg w sprawach podobnego rodzaju.

Wykonanie i dopilnowanie kary było w procesach państwowych obowiązkiem t. zw. jedenastki,

t. zn. dziesięciu obywateli, wybranych po jednym z każdej grupy ateńskiej i pisarza, którzy mieli w swem ręku nadzór nad więzieniami. W ich mocy był podsądny od chwili wyroku w sprawie kary.

AUTENTYCZNOŚĆ OBRONY

Wprawdzie „Obrona Sokratesa“ była tematem licznych studjów i wypracowań retorycznych po śmierci filozofa i stądby się nasuwać mogło podejrzenie, czy i rzecz Platona nie jest własnym wymysłem autora, dalekim od autentycznych słów Sokratesa, to jednak szereg okoliczności zdaje się przemawiać za tem, że to nie wolny wymysł, ale zbliżona do rzeczywistości pamięciowa reprodukcja obrony, wypowiedzianej naprawdę; reprodukcja pisana ręką artysty.

Naprzód bowiem Plato był na rozprawie i słyszał obronę, którą Sokrates wypowiedział osobiście.

Zatem mógł ją powtórzyć względnie wiernie; pamięć miał doskonałą, a naśladować styl indywidualny umiał znakomicie. Sokrates w „Obronie“ nie przemawia stylem literackim, tylko właściwym sobie gawędziarskim językiem codziennym. Rzecz cała pisana z wyraźnym realizmem, z chęcią dania żywego, konkretnego obrazu obrony, a nie z zamiarem przeprowadzenia pewnej tezy za każdą cenę. Po przeczytaniu tej rzeczy rozumie czytelnik, dlaczego Sokratesa skazano i mniej się dziwi sędziom, chociaż ich nie pochwala. Sokrates jest w swej „Obronie“ żywym człowiekiem z krwi i kości, a nie wzniosłą a papierową postacią idealną. Słyszy się w nim grę uczuć: dumy, zawziętości, ironji, pogardy, osamotnienia, goryczy,

beznajdziejnego buntu i rezygnacji. Są ślady obawy i walki z nią w sobie samym pojętej.

To wszystko nie są rysy postaci idealnej i sztucznej, tylko żywej, prawdziwej.

Z pewnością, rzecz Platona nie jest stenogramem, ale, niewątpliwie, jest wiernem odbiciem tego wrażenia, jakie na Platonie wywarła obrona jego mistrza. Nie jest to fotografja, ale portret, robiony ręką artysty z dążeniem do realizmu.

Obrona Sokratesa nosi wszelkie znamiona tragedji; Platon ich nie wymyślał, tylko je spostrzegł, odczuł i odtworzył.

PRELUDJUM

„Nie znasz go bliżej — to nic nie szkodzi. Zato my go dobrze znamy. W każdym razie wiesz, że to nie jest „nasz człowiek“ i trzeba go raz uprzątnąć. Zatem „trzaśniesz go“. My już poniesiemy wszelkie koszta, podpiszemy skargę i pomyślimy o reszcie. Ale rzecz musi być zrobiona gładko!“

Tak musiał mówić niedawno Anytos do Meletosa i rzecz została zrobiona tak gładko i sprawnie, że Sokrates ani się obejrzał, jak się znalazł u Archonta Króla. Nie wierzył, żeby się sprawa miała źle skończyć; znajomi najbliżsi żartowali z oskarżyciela i nie robili nawet prób, żeby go odpowiednią kwotą skłonić do odstąpienia od skargi. Mówiło się, że do procesu albo wogóle nie dojdzie, albo się Meletos na rozprawie tak ośmieszy, że sędziowie będą się wstydzili głosować za nim i niefortunny tragik skompromituje się w Atenach do reszty.

Do procesu jednak doszło. Sokrates dziś jeszcze szedł spokojny do sądu, nie przeczuwając nic złego. „Jakoś to będzie — myślał — a nie powinno być najgorzej. Bo ostatecznie, skarga jest niesprawie-

dliwa tak, że nawet i ci na chybił trafił losowani sędziowie nie będą mieli odwagi i czoła na śmierć skazywać starca, który i tak nad grobem stoi, a żadnej zbrodni w życiu nie popełnił".

Z zajęciem słuchał mów oskarżycieli, ale i z rosnącem zdumieniem. Że też można go w ten sposób malować. Toż on w ich mowach wyglądał na potwornie czarny charakter, zdrajcę, sofistę i retora „tembardziej niebezpiecznego dla ojczyzny i wiary, że się kryje pod płaszczykiem prostoty i fałszywej skromności. Wszystko w nim na to tylko obliczone, żeby jadem sceptycyzmu zakażać młode dusze, żeby dezorganizować społeczeństwo i zatruwać ducha narodowego.

Potrzeba raz przeciąć ten ropiący wrzód intelektualizmu i myślicielstwa, oczyścić raz moralną atmosferę w znękanej ojczyźnie, uratować od zgorszenia to, co jeszcze mamy najdroższego: tę młodzież naszą ukochaną, ten kwiat i nadzieję narodu.

Jedno tylko lekarstwo na to zło straszne, bo zło moralne: wyrwać je z korzeniem, ukarać przykładnie tego zdrajcę, który od pół wieku kopie grób własnej ojczyźnie i bogom rodzinnym, a kopie go w sercach młodego pokolenia.

Lepiej, żeby jeden winny poniósł nagłą śmierć cielesną, niż żeby się moralnie a powoli truć miały tysiące.

Upada w naszych czasach wszelki autorytet — młodzież dzisiejsza nie szanuje, ani bogów, ani ludzi, ani państwa, ani krwi, ani obyczajów przodków, a kto temu winien?...

Rzeczą sędziów patrzeć, by się ojczyzna nie staczała w przepaść bez dna i bez wyjścia".

Tym podobne kwiaty i apostrofy sypały się na głowę Sokratesa w trzech różnych tonacjach i coraz to czarniej występowała jego postać i jego działalność na tle jasnej, szczerej, staroateńskiej tradycji ojczystej tak, że się Sokratesowi przypomniały pierwsze przedstawienia Chmur. On wtedy siebie po raz pierwszy widział w takiem świetle i śmiał się z tego widoku lat dwadzieścia cztery, dziś oglądał się znowu w tem oświetleniu, ale czyżby nie poraz ostatni bo w audytorjum cisza jak w świątyni; tłum ulega łatwo sugestji, a ci trzej grają na najdrażliwszych uczuciach tłumu tak sprytnie, że, gdyby sam był jednym z tych baranów sądzących gotówby i sam uwierzyć oskarżeniu i rzucić czarną gałkę do urny. On wie, że musi już od szeregu lat wyglądać szerokiemu ogółowi tak, jak go malują teraz oskarżyciele, zaczyna po trochę przeczuwać, że go dziś osaczono i przypierają go we trzech nad brzeg przepaści. Zaczyna przeczuwać dobrze ułożoną intrygę; widzi uprzedzenie audytorjum. Ale oto czas mówić; wstaje tedy i zaczyna.

OBRONA SOKRATESA



I

Jakieście wy, obywatele, odebrali wrażenie od moich oskarżycieli, tego nie wiem; bo i ja sam przy nich omal żem się nie zapomniał; tak przekonująco mówili. Chociaż znowu prawdziwego, powiem poprostu, nic nie powiedzieli. A najwięcej mnie u nich jedno zadziwiło z tych wielu kłamstw, jak to mówili, że wyście się powinni strzec, abym ja was nie oszukał, bo doskonale umiem mówić. To, że się nie wstydzili (toż ja zaraz czynem obalę ich twierdzenie, kiedy się pokaże, że ja ani trochę mówić nie umiem), to mi się wydało u nich największą bezczelnością.

Chyba, że oni może tęgim mowcą nazywają tego, co prawdę mówi. Bo jeżeli tak mówią, to jabym się zgodził, że tylko nie według nich, jestem mowcą.

Więc oni, jak ja mówię, bodajże i słowa prawdy nie powiedzieli; wy dopiero odemnie usłyszycie całą prawdę.

Tylko serjo, na Dzeusa, obywatele: nie takie mowy przystrojone, jak te ich: zwrotami i wyrazami, ani ozdobione, ale usłyszycie proste słowa, wyrazy takie, jakie się nawiną.

Bo ja wierzę, że to sprawiedliwe, co mówię i niech się nikt z was czegoś innego nie spodziewa.

Przecieżby nawet nie wypadało, obywatele, żebym ja, w tym wieku, jak młodzik, mówki układać przed was przychodził. Ale naprawdę ja bardzo was, obywatele, o to proszę i błagam: jeżeli usłyszycie, że ja się bronię takiemi samemi słowami, jakiemi zwykle mówię i na rynku koło straganów, gdzie mnie niejeden z was słyszał, i gdziebądźindziej, nie dziwcie się i nie róbcie hałasów dlatego. Bo to tak jest. Teraz ja pierwszy raz stoję przed sądem, a lat mam siedmdziesiąt; poprostu więc obcy mi jest tutejszy język. Więc tak samo, jak gdybym naprawdę był z innych stron, to wybaczylibyście mi przecież, gdybym tamtym językiem i sposobem mówił, w jakichbym był wyrósł, otóż tak samo i teraz o tę was proszę sprawiedliwość, tak się to przynajmniej mnie przedstawia, żebyście mi darowali sposób mówienia — on tam będzie może gorszy, może lepszy — a na to tylko patrzyli i na to, tylko zważali, czy ja słusznie mówię, czy nie; bo to jest zaleta sędziego, a mówcy, mówić prawdę.

II Więc naprzód moje prawo bronić się, obywatele, przeciw pierwszej fałszywej skardze na mnie

i przeciw pierwszym oskarżycielom; potem przeciwko drugiej i drugim.

Bo na mnie wielu skarżyło przed wami oddawna, i już od lat całych, a prawdy nic nie mówili; tych ja się boję więcej, niż tych koło Anytosa, chociaż i to ludzie straszni.

Ale tamci straszniejsi! Obywatele, oni niejednego z was już jako chłopaka brali do siebie, wmawiali w was i skarżyli na mnie nieprawdę, że jest taki jeden Sokrates, człowiek mądry i na gwiazdach się rozumie i co pod ziemią, to on wszystko wybadał i ze słabszego zdania robi mocniejsze, Obywatele, to oni, to ci, co o mnie takie pogłoski porozsiewali, to są moi straszni oskarżyciele. Bo kto słyszy, ten myśli, że tacy badacze to nawet w bogów nie wierzą. A potem jest takich oskarżycieli wielu i już długi czas skarżą a prócz tego jeszcze w takim wieku do was mówią, w którymście wierzyć mogli najłatwiej, dziećmi będąc, a niejeden z was wreszcie młodym chłopcem, poprostu, taka zaoczna skarga, bez żadnej obrony.

A ze wszystkiego najgłupsze to, że nawet nazwisk ich nie można znać, ani ich wymienić. Chyba, że przypadkiem który jest komedjopisarzem.

Jedni z zazdrości, potwarzy w uszy wam nakładli, drudzy uwierzyli i z przekonania zrażają do mnie innych, a ze wszystkimi nieporadna godzina. Bo ani ich tutaj przed sąd nie można pociągnąć, ani rozumnie przekonać żadnego, tylko poprostu tak człowiek musi, niby z cieniami walczyć; broni się i zbija zarzuty, a nikt nie odpowiada.

Więc chciejcie zważyć i wy, jak powiadam, że ja mam dwa rodzaje oskarżycieli: jedni, to ci, co wygłosili skargę dopieroco, a drudzy dawniej ci, o których mówię i przyznajcie, że ja się przeciwko tamtym muszę naprzód obronić. Przecież i wyście tamtych naprzód słuchali, jak skarżą i o wiele więcej, niż tych, co później.

No tak; więc trzeba się bronić, obywatele i trzeba próbować wyjąć wam z uszu potwarz, która tam długi czas siedziała, a wyjąć w tak krótkim czasie! No, jabym tam rad, żeby się to tak stało, jeśli to dobre dla was i dla mnie i jeżeli się moja obrona na cokolwiek przyda. Ale myślę, że to trudna rzecz; ja trochę wiem, jak to jest.

A jednak, niech tak rzeczy idą, jak bóg zechce; prawa potrzeba słuchać i bronić się.

III Więc weźmy jeszcze raz od początku, cóż to za skarga, z której na mnie potwarz wyrosła, a Meletos jej uwierzył i wniósł na mnie to oskarżenie tutaj? Tak jest. Cóż tedy mawiali potwarcy? Jakby więc prawdziwe oskarżenie, trzeba ich zaprzysiężone słowa odczytać: Sokrates popełnia zbrodnię i dopuszcza się występku, badając rzeczy, ukryte pod ziemią i w niebie i ze słabszego zdania robiąc mocniejsze i drugich tego samego nauczając.

To coś będzie w tym rodzaju. Boście przecież i sami coś takiego widzieli w komedji Arystofanesa, jak się tam taki Sokrates huśta, a mówi, że chodzi po powietrzu i mnóstwo innych głupstw wygaduje, na których ja się nic a nic, ani w ogólności, ani

w szczególności nie rozumiem. I nie mówię tego, żebym chciał uwłaczać tego rodzaju wiedzy, jeżeli ktoś jest mądry w takich rzeczach żeby mnie tylko znowu o to Meletos do sądu nie pozwał, ale mnie te kwestje, obywatele, nic a nic nie obchodzą. Na świadków biorę wielu z was samych, i myślę, że jeden drugiemu to wytłumaczy i powie, każdy z tych, którzyście kiedykolwiek słyszeli, jak rozmawiam! A takich wielu między wami. Więc powiedzcie jeden drugiemu, czy kiedykolwiek słyszał który z was, żebym ja w ogólności lub w szczegółach rozmawiał o takich rzeczach? Widzicie więc, że tyle samo warte i wszystko inne, co o mnie tłum opowiada.

Więc ani na tem nic niema, ani, jeżeliście słyszeli od kogoś, że ja biorę ludzi na wychowanie i robię na tem pieniądze, to także nieprawda. IV

Chociaż mnie się i to bardzo podoba, jeżeliby ktoś umiał ludzi wychowywać, jak np. Gorgjasz z Leontinjów i Prodikos z Keos i Hippjasz z Elis.

Obywatele, każdy z nich potrafi chodzić od miasta do miasta i namawia młodych ludzi, którzy mogą zadarmo przestawać, z kim tylko chcą ze swych współobywateli, żeby porzucili tamto towarzystwo a obcowali z nimi; za to im się płaci pieniądzmi a oprócz tego wdzięcznością.

A tu jest jeszcze inny taki obywatel z Paros, mędrzec; dowiedziałem się niedawno, że przyjechał, bom przypadkiem spotkał jednego obywatela, który zapłacił sofistom więcej pieniędzy, niż wszyscy inni razem, Kalljasza, syna Hipponika. Więc ja go za-

pytałem — bo on ma dwóch synów — „Kalljaszu, powiadam, jakby ci się tak byli twoi dwaj synowie źrebakami, albo cielętami porodzili, to mybyśmy mieli wyszukać im kierownika i zgodzić go, żeby z nich zrobił piękne i dobre sztuki we właściwym im rodzaju zalet. I toby był albo jakiś człowiek od koni, albo od roli. No teraz, skoro są ludźmi, to kogo im zamyślasz wziąć na kierownika? Kto się tak rozumie na zaletach człowieka i obywatela? Myślę przecież, żeś ty się nad tem zastanowił, bo masz synów. Jest ktoś taki mówię mu, czy nie?

A no, pewnie, powiada.

Któż taki, mówię, i skąd on i po czemu uczy?

Euenos, powiada, Sokratesie, ten z Paros, po pięć min.

A ja sobie pomyślałem: szczęśliwy ten Euenos, jeżeli on naprawdę posiada tę sztukę i tak ładnie uczy! Jabym się i sam chwalił i wysoko nosił, gdybym to umiał! Ale ja tego nie umiem, obywatele!

V Więc może mi ktoś z was wpadnie w słowo i zapyta: Sokratesie, a twoja robota jaka właściwie? Skądże się wzięły te potwarze na ciebie?

Już też z pewnością, gdybyś się nie był, nibyto, bawił w żadne nadzwyczajności a żył jak każdy inny, nie byliby cię ludzie tak osławili, ani obgadali, skoro twoje zajęcia niczem nie odbijały od wszystkich innych ludzi. Więc powiedz nam, co jest, żebyśmy i my w twojej sprawie nie strzelili jakiego głupstwa. Kto tak mówi, ten mówi sprawiedliwie, jak uważam i ja wam spróbuję wykazać, co to jest takiego, co mi wyrobiło takie imię i taką potwarz.



A słuchajcie!

A może się będzie komu z was zdawało, że żartuję; tymczasem bądźcie przekonani, całą wam prawdę powiem. Bo ja, obywatele, przez nic innego, tylko przez pewnego rodzaju mądrość takie imię zyskałem. A cóż tam za mądrość, taka? Taka może jest i cała ludzka mądrość! Doprawdy że tą i ja zdaje się jestem mądry. A ci, o których przed chwilą mówiłem, ci muszą pewnie być jakąś większą mądrością ponad ludzką miarę mądrzy, albo — nie wiem sam, co powiedzieć. Ja przynajmniej zgoła się na tej wyższej nie znam a kto to na mnie mówi, ten kłamie i tylko na to wychodzi, żeby oszczerstwo na mnie rzucił.

A tylko, obywatele, nie krzyczcie na mnie, nawet, gdyby się wam zdawało, że wielkich słów

używam. Bo nie będę swoich słów przytaczał w tem, co powiem, ale się powołam na kogoś innego, kto to powiedział. Przytoczę wam świadka mojej mądrości, jeżeli jaka jest i jaka, boga w Delfach.

Znacie pewnie Chajrefonta. To mój znajomy bliski od dziecięcych lat i mnóstwo z was, z ludu dobrze go znało. On wtedy razem poszedł na to wygnanie i wrócił razem z wami. I dobrze wiecie, jaki był Chajrefon; jaki gorączka, do czego się tylko wziął. I tak raz nawet, jak do Delfów przyszedł, odważył się o to pytać wyroczni i — jak powiadam — nie róbcie hałasu, obywatele! zapytał tedy wprost, czyby istniał ktoś mądrzejszy odemnie. No i Pytja odpowiedziała, że nikt nie jest mądrzejszy. I to wam ten tutaj brat jego poświadczy, bo tamten już umarł.

VI Zważcie tedy, dlaczego to mówię. Chcę wam pokazać, skąd się wzięła potwarz. Bo ja, kiedym to usłyszał, zacząłem sobie w duchu myśleć tak: Co też to bóg mówi? Cóż ma znaczyć ta zagadka? Bo ja, doprawdy, ani się do wielkiej, ani do małej mądrości nie poczuwam. Więc cóż on właściwie mówi, kiedy powiada, że ja najmądrzejszy? Przecież chyba nie kłamie. To mu się nie godzi. I długi czas nie wiedziałem, co to miało znaczyć a potem, powoli, powoli zacząłem tego dochodzić tak mniej więcej:

Poszedłem do kogoś z tych, którzy uchodzą za mądrych, aby, jeśli gdzie, to tam przekonać wyrocznię, że się myli i wykazać jej, że ten oto tu jest mądrzejszy odemnie a tyś powiedziała, że ja.

Więc, kiedy się tak w nim rozglądam, na-

zwiska wymieniać nie mam potrzeby, to był ktoś z pośród polityków, który na mnie takie jakieś zbliska zrobił wrażenie — obywatele — otóż, kiedym tak z nim rozmawiał, zaczęło mi się zdawać, że ten obywatel wydaje się mądrym wielu innym ludziom, a najwięcej sobie samemu, a jest? Nie! A potem próbowałem mu wykazać, że się tylko uważa za mądrego a nie jest nim naprawdę. No i stąd mnie znienawidził i on i wielu z tych, co przy tem byli.

Wróciwszy do domu, zacząłem miarkować, że od tego człowieka jednak jestem mądrzejszy. Bo z nas dwóch żaden, zdaje się, nie wie nic o tem, co piękne i dobre, ale jemu się zdaje, że coś wie, choć nic nie wie, a ja, jak nic nie wiem, tak mi się nawet i nie zdaje. Więc może o tę właśnie odrobinę jestem od niego mądrzejszy, że, jak czego nie wiem, to i nie myślę, że wiem.

Stamtąd poszedłem do innego, który się wydawał mądrzejszym niż tamten i znowu takie samo odniosłem wrażenie. Tu znowu mnie ten ktoś znienawidził i wielu innych ludzi.

VII

Więc potem, tom już po kolei dalej chodził, choć widziałem i bardzo mnie to martwiło i niepokoiło, że mnie zaczynają nienawidzieć a jednak mi się koniecznem wydawało, to co bóg powiedział, stawiać nadewszystko.

Trzeba było iść dalej, dojść, co ma znaczyć wyrocznia, iść do wszystkich, którzy wyglądali na to, że coś wiedzą. I dalipies, obywatele — bo przed wami potrzeba prawdę mówić — ja, doprawdy,

odniosłem takie jakieś wrażenie: ci, którzy mieli najlepszą opinję, wydali mi się bodaj że największymi nędzarzami, kiedym tak za wolą boską robi poszukiwania, a inni lichsi z pozoru, byli znacznie przyzwoitsi naprawdę, co do porządku w głowie.

Muszę wam jednak moją wędrówkę opisać; jakiem ja trudy podejmował, aby w końcu przyznać słuszność wyroczni.

Otóż po rozmowach z politykami, poszedłem do poetów, tych, co to tragedje piszą i dytyramby i do innych, żeby się tam na miejscu niezbicie przekonać, żem głupszy od nich.

Brałem tedy do ręki ich poematy, zdawało się, najbardziej opracowane i bywało, rozpytywałem ich o to, co chcą właściwie powiedzieć, aby się przy tej sposobności też i czegoś od nich nauczyć. Wstydzę się wam prawdę powiedzieć, obywatele, a jednak powiedzieć potrzeba. Więc krótko mówiąc: nieledwie wszyscy inni, z boku stojący umieli lepiej, niż sami poeci mówić o ich własnej robocie.

Więc i o poetach się przekonałem niedługo, że to, co oni robią, to nie z mądrości płynie, tylko z jakiejś przyrodzonej zdolności, z tego, że w nich bóg wstępuje, jak we wieszczków i wróżbitów; ci także mówią wiele pięknych rzeczy, tylko nic z tego nie wiedzą, co mówią. Zdaje mi się, że coś takiego dzieje się i z poetami. A równocześnie zauważyłem, że oni przez tę poezję uważają się za najmądrzejszych ludzi i pod innymi względami a wcale takimi nie są. Więc i od nich odszedłem, uważając, że tem samem ich przewyższam, czem i polityków.

W końcu zwróciłem się do rzemieślników. Bo sam zdawałem sobie doskonale sprawę z tego, że nic nie wiem, a u tych wiedziałem, że znajdę wiedzę o różnych pięknych rzeczach. I nie pomyliłem się. Ci wiedzieli rzeczy, których ja nie wiedziałem i tem byli mądrzejsi odemnie. Ale znowu, obywatele, wydało mi się, że dobrzy rzemieślnicy popełniają ten sam grzech, co i poeci. Dlatego, że swoją sztukę dobrze wykonywał, myślał każdy, że jest bardzo mądry we wszystkiem innem, nawet w największych rzeczach i ta ich wada rzucała cień na ich mądrość. VIII

Tak, żem się zaczął sam siebie pytać zamiast wyroczni, cobym wolał, czy zostać tak jak jestem i obejść się bez ich mądrości, ale i bez tej ich głupoty, czy mieć jedno i drugie, jak oni. Odpowiedziałem i sobie i wyroczni, że mi się lepiej opłaci zostać tak, jak jestem.

Z tych tedy dochodzeń i badań, obywatele, liczne się porobiły nieprzyjaźnie i to straszne i bardzo ciężkie tak, że stąd i potwarze poszły i to imię stąd, że to mówią: m ą d r y j e s t! Bo zawsze ci, co z boku stoją, myślą, że ja sam jestem mądry w tem, w czem mi się kogo trafi położyć w dyskusji. IX

A to naprawdę, podobno bóg jest mądry i w tej wyroczni to chyba mówi, że ludzka mądrość mało co jest warta, albo i nic. I zdaje się, że mu nie o Sokratesa chodzi a tylko użył mego imienia, dając mnie na przykład, jakby mówił, że ten z was, ludzie, jest najmądrzejszy, który, jak Sokrates, poznał, że nic nie jest naprawdę wart tam, gdzie chodzi o mądrość.

Ja jeszcze i dziś chodzę i szukam tego i myszkuję, jak bóg nakazuje i między mieszczanami naszymi i między obcymi, jeżeli mi się który mądry wydaje. A jak mi się który wydaje, to zaraz bogu pomagam i dowodzę takiemu, że nie jest mądry. I to mi tyle czasu zabiera, że ani nie miałem kiedy w życiu obywatelskiem zrobić czegoś, o czemby warto było mówić, ani koło własnych interesów chodzić, ostatnią biedę klepię przez tę służbę bożą.

X A oprócz tego, chodzą za mną młodzi ludzie, którzy najwięcej mają wolnego czasu, synowie co najbogatszych obywateli; nikt im chodzić nie każe, ale oni lubią słuchać, jak się to ludzi bada, a nieraz mnie naśladują na własną rękę i próbują takich badań na innych.

Pewnie — znajdują mnóstwo takich, którym się zdaje, że coś wiedzą a wiedzą mało, albo wcale nic. Więc stąd ci, których oni na spytki biorą, gniewają się na mnie, a nie na nich mówią, że to ostatni łajdak ten jakiś Sokrates i psuje młodzież. A jak ich ktoś pyta, co on robi takiego i czego on naucza, nie umieją nic powiedzieć, nie wiedzą jak, żeby pokryć zakłopotanie, mówią to, co się na każdego miłośnika wiedzy zaraz mówi, że tajemnice nieba odsłania i ziemi a bogów nie szanuje a z gorszego zdania robi lepsze.

Bo prawdy żadenby chyba nie powiedział, że się ich niewiedzę odsłania i udawanie mądrości. A że im widać na poważaniu zależy a zaciekli są i dużo ich jest a systematycznie i przekonująco na mnie wygadują, więc macie pełne uszy ich potwarzy,

rzucanych na mnie od dawna a zajadle. Z pośród nich też wyszli na mnie Meletos, Anytos i Lykon. Meletos się obraził za poetów, Anytos za rzemieślników i polityków, a Lykon za mowców.

Tak, że, jakem na początku mówił, jabym się sam dziwił, gdyby mi się w tak krótkim czasie udało wyjąć wam z uszu te liczne a zastarzałe oszczerstwa.

Oto jest, obywatele, cała prawda; nie ukryłem przed wami ani wielkich ani małych okoliczności; nie pokrywałem niczego milczeniem. Chociaż wiem, że to samo znowu nienawiść przeciw mnie rozbudza. To właśnie świadczy, że mówię prawdę, że taka jest potwarz na mnie i takie są jej przyczyny. I czy teraz, czy później kiedyś zechcecie się tem zająć, zawsze to samo znajdziecie.

Więc na to, o co mnie pierwsi oskarżyciele moi oskarżyli, niech mi to przed wami za obronę starczy. A Meletosowi zacnemu i pełnemu troski o los państwa, jak mówi, i tym późniejszym zaraz spróbuję odpowiedzieć. XI

A że to już są inni oskarżyciele, więc weźmy znowu ich skargę pod uwagę. Ona taka jest mniej więcej: Sokrates, powiadają, zbrodnię popełnia, albowiem psuje młodzież, nie uznaje bogów, których państwo uznaje, ale inne duchy nowe. Taka jest skarga. Przejdźmy ją punkt za punktem. Więc powiada, że jestem zbrodniarzem, bo psuję młodzież. A ja, obywatele, powiadam, że to Meletos jest zbrodniarz, bo sobie drwi z poważną miną, lekkomyślnie lu-

dzi do sądu ciągnie i udaje, że mu serjo idzie o rzeczy, na których mu nigdy nie zależało. Że to tak jest, spróbuję i wam wykazać.

XII Chodźno tu, Meletosie, powiedzno mi: Nieprawdaż, tobie najwięcej zależy na tem, żeby młodzież była jak najlepsza?

Tak jest.

No, to proszę cię teraz, powiedz tym obywatelom, kto to młodzież naprawia? Jasna rzecz, że ty wiesz; przecież tobie na tem zależy. Bo tego, co psuje, znalazłeś, jak powiadasz, we mnie, zaciągnąłeś mnie przed tych tu obywateli i wnosisz oskarżenie. Więc i tego, co naprawia, nazwij i donieś sądowi, kto to jest. Widzisz, Meletosie, że milczysz i nie masz co odpowiedzieć? A nie uważasz, że to wstyd i najlepsze świadectwo tego, co przecież ja mówię, że ci nic na tem nie zależało? No, powiedz, kochanie, któż ich naprawia?

Prawa!

Ależ mój drogi, ja się nie o to pytam, tylko: co za człowiek, który przedewszystkiem i to zna: prawa.

Ci oto, Sokratesie, sędziowie!

Tak mówisz, Meletosie? Ci tutaj umieją młodych ludzi wychowywać i naprawiają ich?

Oczywiście!

Wszyscy, czy tylko jedni z nich, a drudzy nie?

Wszyscy.

Dobrze mówisz, na Herę i coś bardzo dużo tych pożytecznych obywateli. No, ale jakżeż to? A ci tu słuchacze naprawiają, czy nie?

Biblioteka Akademii Medycznej w Gdańsku

I ci także.

A cóż członkowie wielkiej rady?

I członkowie rady.

Ależ Meletosie, a ci z Walnego Zgromadzenia, ci nie psują młodych ludzi? Oni także naprawiają ich, wszyscy?

Oni także.

No to chyba wszyscy Ateńczycy doskonalą młodzież, tylko ja nie; ja tylko jeden psuję. Tak mówisz?

Bardzo stanowczo tak mówię.

Ja jestem, doprawdy, okropny nędznik w twoich oczach. Ale odpowiedz mi! Czy uważasz, że i z końmi rzecz się ma tak samo? Naprawiają konie wszyscy ludzie, a tylko jeden jakiś psuje? Czy też wprost przeciwnie: jeden ktoś potrafi je naprawiać, albo bardzo nieliczni ludzie: ujeżdżacze; a ci liczni, jak zaczną się z końmi obchodzić i używać ich, psują. Czy nie tak się rzeczy mają, Meletosie, i z końmi i z innemi wszystkiemi istotami żywemi? Doprawdy, że tak; wszystko jedno, czy się ty i Anytos na to zgodzicie, czy nie. To wystarczy, Meletosie; dowiodłeś, żeś się nigdy nie interesował młodzieżą; jasno widać twoje niedbalstwo; nie dbasz zgoła o to, o co mnie do odpowiedzialności pociągasz?

A jeszcze nam powiedz Meletosie, czy lepiej jest mieszkać wśród obywateli dzielnych, czy w społeczeństwie złych ludzi? Odpowiadaj przyjacielu! Ja cię przecież o nic trudnego nie pytam. Nieprawdaż, że źli ludzie zawsze coś złego robią tym, co z nimi najbliżej obcują, a dobrzy coś dobrego? XIII

No pewnie.

A czy istnieje taki człowiek, któryby wolał od bliźnich doznawać czegoś złego raczej, niż dobrego? Panie dobry, odpowiadaj! Przecież prawo nakazuje odpowiadać. Czy istnieje człowiek, który chce doznawać złego?

Naturalnie, że nie.

A proszę cię, ty mnie tutaj przed sąd ciągniesz za to, że psuję młodzież i wyrabiam złych ludzi umyślnie, czy nieumyślnie?

A pewnie, że umyślnie!

Jakto Meletosie? O tyleś odemnie, starego mądrzejszy, ty, taki młodzik, żeś zrozumiał, jako iż źli ludzie źle robią swemu najbliższemu otoczeniu, a dobrzy dobrze. A jabym miał aż tak zgłupieć, żebym i tego nawet nie pojmował, że jeśli kogoś w swem otoczeniu złym człowiekiem zrobię, mogę potem sam czegoś złego doznać z jego strony i takie straszne zło popełniam u m y ś l n i e, jak mówisz ty? W to ja ci nie uwierzę, Meletosie, a myślę, że i nikt inny. Więc albo nie psuję — albo psuję nieumyślnie, zaczem ty w obu wypadkach kłamiesz. A jeśli psuję nieumyślnie, to za takie, i to nieumyślne zbrodnie nie wolno ludzi tutaj do sądu ciągać, ale się samemu do tego wziąć; nauczać i kierować. Jasna rzecz, że jak się nauczę, to przestanę to robić, co nieumyślnie popełniam. A tyś obcowania ze mną unikał i uczyć mnie nie chciałeś, tylkoś mnie tu przed sądem postawił, gdzie wolno stawiać ludzi, którym k a r y potrzeba, a nie nauki.

XIV Więc obywatele, to już jest jasna rzecz, com

mówił, że się troskliwe serce Meletosa o te rzeczy nigdy ani w ogólności, ani w szczególności nie troszczyło.

Mimo to, powiedz nam, Meletosie, jak ty mówisz, że ja psuję młodych. Oczywiście, wedle skargi, którąś wniósł na piśmie, to uczę ich nie wierzyć w bogów, w których państwo wierzy, tylko w inne duchy nowe? Czyż nie taka, powiadasz, jest treść mojej nauki gorszącej?

Otóż bardzo stanowczo to stwierdzam.

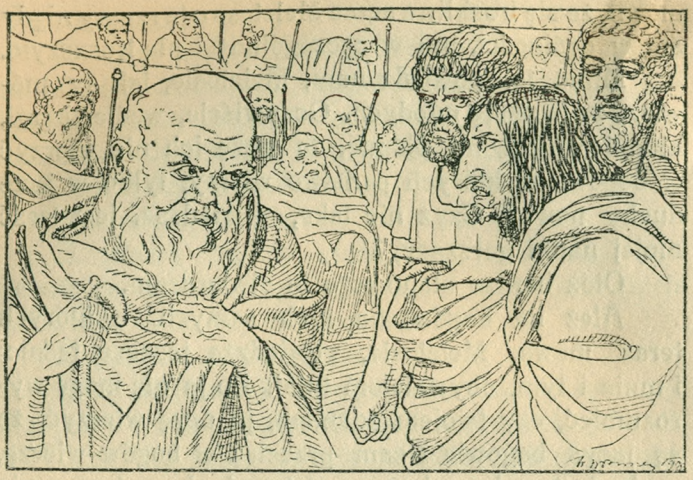
Ależ na bogów, na tych samych, o których teraz mowa, Meletosie, powiedzże jeszcze jaśniej i mnie i tym, obywatelom tutaj. Bo ja nie mogę wyrozumieć, czy twojem zdaniem, ja uczę wierzyć, że są jacyś bogowie i sam przecież w bogów wierzę, a nie jestem kompletnym ateistą i nie w tem moja zbrodnia, chociaż nie w tych, których państwo uznaje, ale w innych i o to mnie właśnie oskarżasz, że w innych; czy też, twojem zdaniem, ja wogóle w bogów nie wierzę i drugich tego nauczam?

To mówię, że ty wogóle w bogów nie wierzysz.

Przedziwny, Meletosie! na co ty takie rzeczy mówisz? Więc ani Heliosa ani Seleny za bogów nie uważam, tak jak inni ludzie?

Na Dzeusa, sędziowie, tak! bo on mówi, że słońce to kamień, a księżyc to ziemia!

Kochany Meletosie! Tobie się zdaje, że ty Anaksagorasa skarżysz? Za kogo ty masz tych obywateli? Myślisz, że oni książek nie czytają, nie wiedzą, że to w pismach Anaksagorasa z Kladzomenów pełno takich zdań. I tak naprawdę i młodzi ludzie odemnie



się dopiero uczą takich rzeczy, które można nieraz, jeśli drogo, to za całą drachmę w teatrze kupić i śmiać się ze Sokratesa, gdyby udawał, że to jego pomysły — inna rzecz, że i tak głupie.

Nie — na Dzeusa — to ja, twojem zdaniem, tak, w ani jednego boga nie wierzę?

Nie, na Dzeusa, ani troszeczkę!

Tyś bardzo niewierny człowiek, Meletosie i to nawet, mnie się zdaje, ty samemu sobie nie wierzysz. Bo mnie się tak wydaje, obywatele, że on sobie pozwala i używa sobie — tę skargę napisał poprostu z buty jakiejś, z rozpusty i młodzieńczego humoru. Tak wygląda, jakby zagadki układał i próbował: czy się też pozna Sokrates, ten mądry, że ja sobie figle stroję i sprzeciwiam się sobie samemu,

czy też wywiodę w pole i jego i innych słuchaczy? Bo mnie się wydaje, że on sam sobie zaprzecza w skardze; tak, jakby mówił: popełnia zbrodnię Sokrates w bogów nie wierząc, ale w bogów wierząc. A przecież to są figle!

Doprawdy, rozpatrzcie ze mną, obywatele, jak on to, mojem zdaniem, mówi; a ty nam odpowiadaj, Meletosie. A wy, ja was już o to prosiłem na samym początku, pamiętajcie nie podnosić na mnie hałasu, jeżeli ja tak swoim starym zwyczajem będę prowadził rozmowę! XV

Meletosie, czy istnieje taki człowiek, który wierzy w istnienie spraw ludzkich, a w istnienie ludzi nie wierzy? Obywatele, niech on odpowiada zamiast co chwila wrzaskami swoje niezadowolenie objawiać! Czy jest ktoś, kto w istnienie koni nie wierzy, a tylko w roboty końskie? albo w istnienie flecistów nie wierzy, a tylko prace flecistów uznaje? Niema takiego, zacności moja. Jeżeli ty nie chcesz odpowiadać, to ja ci to sam powiadam i wszystkim innym tutaj. Ale na drugie mi odpowiedz: czy jest taki, co wierzy w sprawy duchów, a w duchy same nie wierzy?

Niema takiego!

Ach jakżeś łaskaw, żeś przecież raczył odpowiedzieć, kiedy cię sędziowie zmusili. Nieprawdaż, ty mówisz, że ja duchy uznaję i nauczam o nich; inna rzecz: nowe, czy stare. Zatem duchy uznaję, wedle twoich słów, tyś to nawet zaprzysiągł na piśmie w oskarżeniu. Zatem jeśli ja w sprawy duchów wierzę, to z konieczności muszę tem samem

i w duchy wierzyć. Czyż nie tak? Naturalnie, że tak. Bo ja zakładam, że ty się zgadzasz, skoro nie odpowiadasz. A duchy czyż nie uchodzą u nas albo za bogów, albo za potomstwo bogów?

Naturalnie.

No więc? Jeśli zatem, jak powiadasz, wierzę w duchy, a duchy są jakimiś bogami, to byłoby tak jak ja mówię, że ty zagadki układasz i figle stroisz mówiąc raz, że ja w bogów nie wierzę, a potem znowu, że w bogów wierzę, skoro wierzę w duchy.

A jeśli znowu duchy to potomstwo bogów gdzieś tam z boku, z nimf czy z jakicheś tam innych, jak to opowiadają, to któryż człowiek mógłby wierzyć w istnienie dzieci bożych, a w bogów samych nie? Toż toby było podobne głupstwo, jak gdyby ktoś istnienie potomków koni przyjmował i osłów, a mianowicie muły, a w istnienie samych koni i osłów nie wierzył. Ależ, Meletosie, to nie może być inaczej, tylkoś ty tę skargę napisał tak na próbę dla nas, albo też nie wiedziałeś naprawdę, o jakiby mnie można właściwie występek oskarżyć. Ale, żebyś ty kogoś przekonał, co ma choć odrobinę oleju w głowie, że jeden i ten sam człowiek potrafi w dzieła duchów i bogów wierzyć i znowu ten sam nie wierzy, ani w duchy, ani w bogów, ani w bohaterów to się w żaden sposób nie da zrobić.

XVI Zatem, obywatele, że ja nie popełniam zbrodni, takiej wedle skargi Meletosa, na to, zdaje się, nie potrzeba długiej obrony; wystarczy już i to.

Ale to, com już i przedtem mówił, że wielka przeciwko mnie nienawiść istnieje i to z wielu stron,

to bądźcie przekonani, że jest święta prawda. I to jest to, co mnie zgubi, jeśli zgubi; nie Meletos, ani Anytos, ale potwarz ze strony wielu i zawiść. One już i wielu innych i dzielnych ludzi zgubiły, a myślę, że i gubić będą. Zgoła niema obawy, żeby to to na mnie stanęło.

Więc gotów może ktoś powiedzieć: dobrze, czy ty się nie wstydzisz, Sokratesie, żeś się taką robotą bawił, za którąś dzisiaj gotów umrzeć?

A jabym takiemu sprawiedliwe słowo odpowiedział, że ty niełądnie mówisz, człowiecze, jeżeli, twojem zdaniem, z góry widoki życia lub śmierci obliczać powinien człowiek, z którego jest, choćby jaki taki pożytek, a nie na to tylko patrzeć, kiedy działa, czy postępuje słusznie, czy niesłusznie i czy robi tak, jak człowiek dzielny, czy, jak lichy. Toż lichemi figurami byliby wedle twego zdania i półbogowie, którzy padli pod Troją, a między innymi i syn Tetydy, który tak dalece gardził niebezpieczeństwem, byle hańby po sobie nie przenieść, że, gdy chciał zabić Hektora i matka, że to bogini, powiada mu o tak jakoś, zdaje mi się: synu, jeśli pomścisz śmierć przyjaciela, Patrokla, i zabijesz Hektora, to sam zginiesz! Zaraz cię bowiem, powiada, po śmierci Hektora skon czeka — on to usłyszał, ale tak mało dbał o śmierć i o niebezpieczeństwo, a znacznie więcej się obawiał żyć i być lichym człowiekiem i przyjaciela nie pomścić, że i zaraz, powiada, niech zginę, jak tylko złoczyńcę ukarzę, bylem się tutaj bezczynnie ludziom na śmiech nie włóczył koło okrętów

garbatych i ziemi nie deptał daremnie. Myślisz, że on dbał o śmierć i o niebezpieczeństwo? Tak jest, obywatele, naprawdę. Gdzie człowiek raz stanie do szeregu, bo to uważał za najlepsze, albo, gdzie go zwierzchnik postawi, tam trzeba, sądzę, trwać, mimo niebezpieczeństwa; zgoła nie biorąc w rachubę, ani śmierci, ani niczego innego, oprócz hańby.

XVII Więc jabym strasznie postąpił, obywatele, gdybym wtedy na rozkaz wodzów, którycheście wy obrali i postawili nademną pod Potejdają, pod Amfipolis i pod Deljon trwał tam, gdzie mi oni kazali tak samo jak i każdy inny i narażał się na śmierć, a kiedy mi rozkazywał bóg, jak ja sądziłem i byłem przekonany, żem powinien życie poświęcić ukochaniu mądrości i badaniu siebie samego i drugich, gdybym miał ze strachu przed śmiercią czy wszystko jedno przed czem opuszczać szyk.

Toby było straszne i wtedyby naprawdę mnie słusznie mógł ktoś do sądu ciągnąć za to, że w istnienie bogów nie wierzę i wyroczni nie słucham i uważam się za mądrego, choć nie jestem. Bo obawiać się śmierci, obywatele, to nic innego nie jest, jak tylko mieć się za mądrego, choć się nim nie jest. Bo to znaczy myśleć, że się wie to, czego człowiek nie wie. Bo przecież o śmierci żaden człowiek nie wie, czy czasem nie jest dla nas największem ze wszystkich dobrem, a tak się jej ludzie boją, jakby dobrze wiedzieli, że jest największem złem. A czyż to nie jest głupota i to ta najpaskudniejsza myśleć, że się wie to, czego człowiek nie wie?

Ja się obywatele, i na tym punkcie różnię od

wielu innych ludzi i jeżelibym naprawdę powiedział, że jestem pod jakimś względem mądry, to właśnie pod tym, że nie mając dostatecznego pojęcia o tem, co w Hadesie, zdaję też sobie z tego sprawę, że nie wiem. A że krzywdy wyrządzać i nie słuchać lepszego od siebie — boga czy człowieka — jest czemś złem i hańbą — to wiem. Więc zamiast się chronić takiego zła, o którem wiem, że jest złem, ja takich rzeczy, o których nie wiem, czy przypadkiem nie są właśnie dobre, ani się bać, ani przed niemi uciekać nie myślę.

To też nawet, jeżeli mnie teraz puścicie i nie dacie wiary Anytosowi, który mówił, że albom się tu wogóle nie powinien był znaleźć, albo, skorom się już tu znalazł, niepodobna mnie na śmierć nie skazać, bo jeśli, powiada, ujdę kary, to już wasi synowie, postępując wedle nauk Sokratesa, zepsują się do reszty i ze szczętem — więc, gdybyście mi na to powiedzieli: Sokratesie, my teraz nie posłuchamy Anytosa, tylko cię uwolnimy, pod tym jednakże warunkiem, abyś się nigdy więcej takiemi poszukiwaniami nie bawił ani nie filozofował dalej, a jeśliby cię znowu na tej robocie schwytano, to zginiesz — jeślibyście mnie, jak mówię, pod temi warunkami puścić mieli, tobym wam powiedział, że ja was, obywatele, kocham całem sercem, ale posłucham boga raczej, aniżeli was i póki mi tchu starczy, póki sił, bezwarunkowo nie przestanę filozofować i was pobudzać i pokazywać drogę każdemu kogo tylko spotkam, mówiąc jak to ja zwykle, że ty, mężu zacny, obywatelem będąc Aten, miasta tak

wielkiego i tak sławnego z mądrości i siły, nie wstydzisz się dbać i troszczyć o pieniądze, abyś ich miał jak najwięcej, a o sławę, o cześć, o rozum i prawdę i o duszę, żeby była jak najlepsza ty nie dbasz i nie troszczysz się o to?

I jeżeliby mi kto z was zaprzeczał i mówił, że dba, ja go nie puszczę i nie dam mu odejść, ale go będę pytał i badał i przekonywał i jeśli dojdę do przekonania, że on niema dzielności naprawdę, a tylko tak mówi, to będę go poniewierał, że o najwyższe wartości najmniej dba, a rzeczy lichsze wyżej stawia. I tak będę robił młodym i starym i kogo tylko spotkam i swoim i obcym, a tembardziej swoim, boście mi bliżsi krwią.

Tak rozkazuje bóg, dobrze sobie to pamiętajcie, a mnie się zdaje, że wy wogóle nie macie w państwie nic cenniejszego, niż ta moja służba boża. Bo przecież ja nic innego nie robię, tylko chodzę i namawiam młodych z pośród was i starych, żeby się ani o ciało, ani o pieniądze nie troszczył jeden z drugim przedewszystkiem, ani tak bardzo jak o duszę, aby była jak najlepsza i mówię im, że nie z pieniędzy dzielność rośnie, ale z dzielności pieniądze i wszelkie inne dobra ludzkie i prywatne i publiczne.

Więc jeżeli tak mówię i tem młodzież psuję to może być, że to są rzeczy szkodliwe; ale jeśli ktoś twierdzi, że ja cokolwiek innego mówię, a nie to właśnie — ten kłamie.

Wobec tego, Ateńczycy — czy wy posłuchacie Anytosa, czy nie i czy mnie wypuścicie, czy nie

wypuścicie, ja nie będę postępował inaczej; nawet gdybym miał nie jeden, ale sto razy umrzeć.

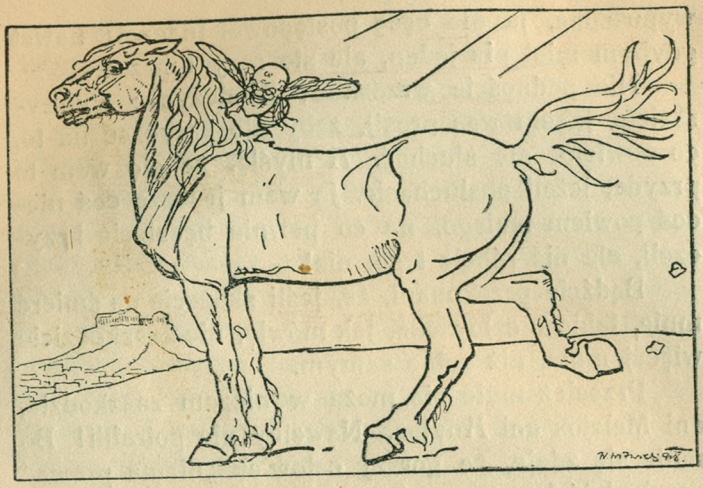
Nie podnoście wrzasków, Ateńczycy; wytrzymajcie, jakem was prosił, żeby nie krzyczeć na to, co powiem, ale słuchać. A myślę, że się wam to przyda, jeżeli posłuchacie. Ja wam jeszcze coś niecoś powiem takiego, na co pewnie będziecie krzyczeli, ale nie róbcie tego, nie! XVIII

Bądźcie przekonani, że, jeśli skażecie na śmierć mnie, takiego człowieka, jak mówię, nie zaszkodzicie więcej mnie, niż sobie samym.

Przecież mnie nie może w niczem zaszkodzić, ani Meletos ani Anytos. Nawetby nie potrafili! Bo mnie się zdaje, że gorszy człowiek „niema prawa“ zaszkodzić lepszemu. Pewnie; może go zabić, skazać na wygnanie, pozbawić czci i praw. Tylko, że te rzeczy on pewnie uważa i ktoś inny może za wielkie nieszczęścia, a ja zgoła nie uważam; znacznie większe nieszczęście robić to, co on teraz robi: niesprawiedliwie nastawać na życie człowieka.

Więc teraz, Ateńczycy, jestem daleki od tego, żebym miał przemawiać w obronie siebie samego, jakby się komuś zdawać mogło, ale raczej w obronie was, żebyście czasem nie obrazili boga za to, że was obdarował, jeżeli na mnie wyrok śmierci wydacie.

Bo jeśli mnie skażecie, to nie łatwo znajdziecie drugiego takiego, któryby tak, śmiech powiedzieć, jak bąk z ręki boga puszczony, siadał miastu na kark; ono niby koń wielki i rasowy, ale taki duży, że gnuśnieje i potrzebuje jakiegoś żądła, żeby go budziło.



I zdaje mi się, że czemś takiem dla miasta ja właśnie jestem, od boga mu przydany; ja, który was ciągle budzę i nakłaniam i zawsze besztam każdego z osobna po całych dniach, to tu, to ówdzie przysiadając. Takiego drugiego nie łatwo dostaniecie, obywatele; to też, jeżeli mnie posłuchacie, to nie zechcecie się mnie pozbywać.

Ale może być, że wy się gniewacie jak ten, któremu ktoś drzemkę przerywa; radzibyście mnie pacnąć i jak Anytos radzi zabić mnie, nie wiele myśląc. Potembyście resztę życia mogli spać spokojnie, chyba, że się bóg o was zatroszczy i kogoś innego wam znowu ześle.

Że ja jestem właśnie taki, i że mnie bóg dał miastu, to może i stąd zmiarkujecie: przecież to nie

jest zwyczajna ludzka rzecz, że ja o swoje sprawy zgoła nie dbam i spokojnie patrzę na mój dom w zaniedbaniu i to już od tylu lat, a ciągle jestem waszem dobrem zajęty. Prywatnie do każdego przychodzę, niby ojciec, albo starszy brat i każdego namawiam, żeby dbał o dzielność. Gdybym jeszcze za to coś dostawał, brał jakie honorarja za te rozstrząsania dusz, to miałbym jakiś powód.

Ależ dzisiaj wy widzicie sami, że oskarżyciele, którzy mnie tak bezwstydnie o wszystko inne oskarżyli, do takiej się przecież nie potrafili posunąć bezczelności, żeby świadka postawić na to, jakobym ja od kogo kiedykolwiek albo wziął wynagrodzenie, albo go zażądał. Bo ja, zdaje się, wystarczającego stawiam świadka na to, że prawdę mówię: ubóstwo.

Ale może się to wyda nierozsądkiem, że ja tylko XIX
tak prywatnie ludziom doradzam i chodzę tu i tam i tyle mam do roboty, a publicznie wystąpić nie mam odwagi; pójść na mównicę w tłum między was i rad udzielać państwu.

To pochodzi stąd, że, jakeście to nieraz ode-mnie słyszeli, mam jakieś bóstwo, jakiegoś ducha, o czem i Meletos na żart w swojem oskarżeniu pisze. To u mnie tak już od chłopięcych lat: głos jakiś się odzywa, a ilekroć się zjawia, zawsze mi coś odradza, cokolwiekbym przedsiębrał a nie doradza mi nigdy. Otóż ono mi nie pozwala zajmować się polityką. A zdaje mi się, że to zakaz bardzo piękny. Bo wierzcie mi, obywatele, gdybym się był kiedyś zajął polityką, dawnobym był zginął i na nic się nie przydał ani wam, ani sobie.

Nie gniewajcie się; ja mówię prawdę. Niema takiego człowieka, któremuby wasz lub jakikolwiek inny tłum przepuścił, jeżeli mu ktoś szlachetnie czoło stawia i nie pozwala na krzywdy i bezprawia w państwie; człowiek, który naprawdę walczy w obronie słuszności, a chce się, choć czas jakiś, ostać, musi koniecznie wieść żywot prywatny, a nie publiczny.

XX Wielkie wam świadectwa podam na to; nie słowa, ale to, co wy cenicie: czyny. Posłuchajcie, co mi się przytrafiło, abyście wiedzieli, że jabym przed nikim nie ustąpił wbrew słuszności i ze strachu przed śmiercią; nie ustąpiłbym, choćbym i zginąć miał. Opowiem wam ciężkie i smutne historje, ale prawdziwe.

Bo ja, Ateńczycy, nigdy żadnego nie spełniałem urzędu w państwie, tylkom raz należał do Wielkiej Rady. Właśnie wtedy prytanja wypadała na naszą grupę: Antjochidę, kiedyście wy uchwalili sądzić sumarycznie dziesięciu wodzów za to, że trupów po bitwie morskiej nie pogrzebali.

Bezprawie, jakeście później wszyscy przyznali.

Wtedy ja jeden z pomiędzy prytanów, postawiłem się wam, że niczego nie będę robił wbrew prawu i głosowałem przeciw uchwale, chociaż retory gotowe były mnie na miejscu denuncjować i kazać zaraz odprowadzić, a wyście tego żądali i wrzeszczeli; uważałem jednak, że powinienem raczej przy prawie i słuszności stać, bez względu na niebezpieczeństwo, aniżeli się was trzymać, kiedy bezprawia uchwalacie, ze strachu przed więzieniem lub śmiercią.

Ale to było jeszcze za czasów demokracji w mieście.

A kiedy przyszła oligarchja, to znowu tych trzydziestu posłało po mnie, żebym razem z czterema innymi, przyszedł do nich, do okrągłego domu i kazali mi dostawić ze Salaminy Leona Salamińczyka. Mieli go stracić. Oni przecież mnóstwo takich poleceń wydawali różnym ludziom, żeby mieć jak najwięcej współwinnych. Wtedy ja nie słowem, ale czynem dowiodłem, że mi na śmierci zależy, przepraszam, ale... ani tyle! a żeby niczego nieuczciwego, ani bezbożnego nie zrobić, na tem mi tylko zależy i koniec!

Mnie też tamten rząd nie przestraszył, chociaż taki był silny, żebym miał aż coś nieuczciwego popełnić; toteż, kiedyśmy z okrągłego domu wyszli, tamci czterej puścili się zaraz do Salaminy i dostawili Leona, a ja poszedłem prosto do domu. I pewniebym był za to śmierć poniósł, gdyby się ów rząd w krótki czas potem nie był rozwiązał.

I na to znajdziecie wielu świadków.

XXI

Cóż wy myślicie, że jabym był tyle lat bezpiecznie przeżył, gdybym się był pracą publiczną bawił, a bawił tak, jak dzielnemu człowiekowi przystało, pomagał ludziom uczciwym i jak być powinno, o to dbał nadewszystko? Ani mowy, obywatele! Ani nikt inny na mojem miejscu.

Ja przez całe życie, czy to na publicznem stanowisku, jeżelim tam coś zdziałał, czy w prywatnem życiu, jestem zawsze taki sam, nigdym nikomu nie ustąpił wbrew słuszności, ani z innych,

ani żadnemu z tych, których oszczercy nazywają moimi uczniami.

Ja nie byłem nigdy niczyim nauczycielem. Tylko, jeśli ktoś ma ochotę słuchać, jak ja mówię i swoje robię, to, czyto młody, czy stary, żadnemu tego nigdy nie broniłem i ja nie rozmawiam za pieniądze, a bez pieniędzy nie, tylko zarówno bogatemu, jak i ubogiemu pozwalam, żeby mi pytania stawiał, albo słuchał i odpowiadał, kiedy o czemś rozmawiam. A czy się ktoś przez to robi lepszym, czy nie, ja nie mam prawa za to odpowiadać, bom ani nie przyrzekał nikogo nauczyć czegokolwiek, anim też nie uczył. A jeśli ktoś mówi, że się kiedyś u mnie nauczył, albo odemnie słyszał prywatnie coś innego, niż i wszyscy inni, bądźcie przekonani, że kłamie.

XXII Ale czemu niejeden ze mną przecież tak chętnie długi czas przestaje? Słyszeliście, obywatele. Ja wam całą prawdę powiedziałem. Bo się chętnie przysłuchują, jak się bada tych, co myślą, że są mądrzy, a nie są. To wcale przyjemna rzecz. A mnie to jak powiadam, bóg nakazał robić i przez wróżby i sny i na wszelkie sposoby, jakiemi zrządzenie boskie zwykło człowiekowi cokolwiek rozkazywać.

To jest, obywatele i prawda i dowieść tego łatwo.

Bo jeśli ja młodych ludzi psuję, a niektórych nawet już popsułem, tożby koniecznie — jedni z nich postarzeli się przecież — poznali, żem im kiedyś za młodu coś złego doradzał, musieliby więc tu przyjść i skarżyć mnie za to; a gdyby sami nie chcieli, to zawsze ktoś z bliskich, jakiś ojciec, czy

brat, czy inny krewny takiego, pamiętałby mi to, gdyby jego najbliższy był czego złego doznał ode mnie i dzisiajby się mścił. A tymczasem wielu z nich jest tu koło mnie.

Widzę ich; naprzód o ten oto: Kriton, mój rówieśnik i sąsiad, ojciec tego tu Kritobulosa, potem Lyzanjasz ze Sfettos, ojciec o tego Ajschinesa; dalej Antyfon z Kefizji; o, ten, ojciec Epigenesa. A ci inni, to bracia tych, co ze mną przestawali: Nikostralos, syn Teozotida, brat Teodota, a Teodot sam umarł, więc on tu swego brata nie zaprosił i Paralos; ten, syn Demodoka; tego bratem był Teages, a ten tu, to Adejmantos, syn Aristona, a to jego brat: Platon; tam Ajantodoros, tu brat jego Apollodoros. A jeszcze wielu innych mogę wam wymienić; Meletos powinien był w swojej mowie przedewszystkiem kogoś z nich podać na świadka; jeżeli wtedy zapomniał, niech go poda teraz; ja poczekam; niech mówi, jeżeli ma co.

Tymczasem znajdziecie coś wręcz przeciwnego, obywatele; oni wszyscy gotowi poprzeć mnie, którym tyle złego zrobił ich najbliższym, jak powiada Meletos i Anytos. Jeszcze ci zepsuci mieliby powód, żeby mnie popierać; ale ci niezepsuci, starsi, ci krewni; cóż tych skłania do tego, żeby mnie popierać, jak nie słuszność i sprawiedliwość: to przekonanie, że Meletos kłamie, a ja mówię prawdę?

Otóż tyleby było, obywatele! XXIII

Co jabym miał do powiedzenia na swoją obronę, to mniej więcej to właśnie i inne rzeczy tym podobne.

Ale może być, że się ktoś z was zżyma, przypomniawszy sobie siebie samego; on może i w mniej poważnym procesie stawał, a prosił i błagał sędziów i łzami się zalewał, a dzieci swoje tu przyprowadził, żeby jak największą litość wywołać, a jeszcze krewnych przywlókł i przyjaciół; ja oczywiście, nie będę robił niczego podobnego, choć się narażam, mógłbym sądzić, na największe niebezpieczeństwo.

Więc może niejeden, widząc to, zatnie się na mnie, zgniewa go to i gotów w gniewie głos oddać.

Jeśli tu jest ktoś taki — ja nie przypuszczam, ale jeżeli, to mógłbym mu, zdaje się, coś na to powiedzieć. Powiedziałbym, że mam ci może i ja, ojcze dobry, także jakicheśtam krewnych. Toż już i jak Homer powiada: anim z drzewa nie wyrósł, anim ze skały wyskoczył, tylko z ludzi; toteż i dom jakiś mam i synów, obywatele, trzech; jeden już pod wąsem, a dwaj to chłopaki, a mimo to, żadnegom tu nie przyprowadził i nie będę was prosił o uwolnienie. A czemu nic podobnego nie zrobię? To nie pycha, obywatele, ani lekceważenie was i czy ja mam odwagę na śmierć, czy nie, to nie o to chodzi — chodzi o to, czy to wypada i mnie i wam i całemu miastu — mnie się zdaje, że to niełądnie, żebym ja takie rzeczy robił, w tym wieku i z tem imieniem, wszystko jedno, czy słusznem czy fałszywem.

Bo to niby jest pewne, że Sokrates czemeś się wyróżnia od wielu innych ludzi.

Przecież jeżeliby się ktokolwiek z was w powszechnej opinji wyróżniał mądrością, czy odwagą,

czy jakąkolwiek inną dzielnością, a takby się zachowywał, to byłby wielki wstyd. A ja już niejednego takiego i nieraz widziałem, który za coś pomiędzy ludźmi uchodził, a w sądzie wyprawiał niewiadomo co. Jakby myślał, że: strach, co mu się stanie, jeśli umrze; jakby miał nieśmiertelnym zostać, gdybyście go nie skazali. Mnie się zdaje, że tacy tylko wstyd miastu przynoszą; potem jeszcze gdzieś ktoś z obcych gotów myśleć, że najdzielniejsi ludzie w Atenach, których obywatele sami wyróżniają godnościami i zaszczytami, niczem się nie różnią od kobiet.

Ateńczycy, czegoś podobnego ani my nie powinniśmy robić, którzy za coś tam uchodzimy, ani wyście na to pozwalać nie powinni, raczej pokazać, że o wiele prędzej skażecie takiego, co te rozczulające dramaty wyprawia i miasto ośmiesza, niż takiego, który się spokojnie zachowuje.

A nie mówiąc o tem, czy wypada; to nawet mi się to, obywatele, nie wydaje uczciwem: prosić sędziego i uwalniać się prośbami, od odpowiedzialności, zamiast pouczać i przekonywać. Przecież nie na to tutaj siedzi sędzia, żeby w podarunku rozdawał z łaski sprawiedliwość, tylko, żeby sądził. Przecież przysięgał nie na to, że będzie folgował temu, który mu się podoba, ale, że będzie sądził według praw. XXIV

Nieprawdaż? Zatem ani myśmy was nie powinni przyzwyczajać do krzywoprzysięstwa, ani wyście się sami nie powinni do tego przyzwyczajać. Nie godzi się to przed bogiem, ani nam, ani wam.



Nie sądźcie tedy obywatele, że ja powinienem się wobec was zachowywać w sposób, który mi się ani pięknym nie wydaje, ani sprawiedliwym, ani zbożnym; tembardziej, że mnie dalibóg, o bezbożność ten tu Meletos oskarża.

Oczywiście, gdybym na was wpływał i prośbami gwałt zadawał waszej przysiędze, wtedybym was uczył niewiary w bogów i poprostu, broniąc się, oskarżałbym siebie samego, że bogów nie uznaję. Ale daleko do tego. Ja ich uznaję, obywatele, jak żaden z moich oskarżycieli i pozostawiam bogu i wam sąd o mnie; niech wypadnie tak, jak będzie najlepiej dla mnie i dla was.

XXV Jeżeli się oburzam, obywatele, na to, co się stało, żeście mnie skazali, na to się składa bardzo wiele, a między innemi i to, że mnie nie zaskoczył nie-

spodziewanie ten fakt. Ja się raczej dziwię, że taka wypadła liczba głosów po obu stronach.

Nie spodziewałem się tak małej większości — myślałem o wielkiej. A tu, jak widzę, gdyby tylko trzydzieści skorupek było padło w drugą stronę, byłbym został uwolniony. Przeciw Meletosowi, to uważam, że i tak wygrałem i nie tylkom wygrał, ale to każdy zrozumie, że gdyby się był do jego skargi nie przyłączył Anytos i Lykon, byłby musiał zapłacić tysiąc drachm, bo nie dostał piątej części głosów.

Więc ten obywatel proponuje dla mnie śmierć. XXVI
No, dobrze. A ja — jakąż ja mam podać ze swojej strony propozycję?

No, oczywista, że należytą. Więc cóż? Jakaż mi się należy kara osobista, czy grzywna, żem, licho wie czemu, całe życie nie siedział cicho i nie dbał o to, o co się troszczy wielu: o pieniądze, o dom, o strategję, mowy na zgromadzeniach, urzędy, sprzysiężenia, obywatelskie spiski, bom się naprawdę za zbyt porządnego człowieka uważał na to, żeby tam pójść, a ostać się i nie szedłem tam, gdziebym się ani wam, ani sobie na nic nie był przydał, tylkom, jak zwykły człowiek, do każdego z osobna chodził świadczyć mu największe dobrodziejstwo, ja przynajmniej tak uważam; tam szedłem i próbowałem każdego z was namawiać, żeby ani o żadną ze spraw swoich nie dbał prędzej, zanim dbać zacznie o siebie samego, by się stał jak najlepszym i najmądrzejszym, ani się o sprawy państwa troszczył, zanim o państwie samem nie pomyśli i żeby się o wszystko inne podobnym porządkiem starał. Więc co mi się

należy za to? Takiemu człowiekowi? Coś dobrego, obywatele, jeżeli wniosek ma być naprawdę należyty. I to coś dobrego w tym rodzaju, żeby to odpowiadało mojej osobie.

A cóż odpowiada człowiekowi ubogiemu, zasłużonemu, który musi mieć wolną głowę, żeby was mógł nawracać? Niema nic odpowiedniejszego, Ateńczycy, jak to, żeby takiemu obywatelowi dawać honorowy wikt w prytanejon; o wiele więcej, niż jeśli który z was na koniu, parą albo czterma końmi odniesie zwycięstwo w Olympji.

Bo dzięki niemu, zdaje się wam, że jesteście szczęśliwi, a dzięki mnie jesteście. I taki nie potrzebuje utrzymania, a ja potrzebuję. Jeżeli więc mam po sprawiedliwości proponować karę należytą, to proponuję: honorowy wikt w prytanejon.

XXVII Może się wam zdaje, że i teraz mówię podobnie jak przedtem o owych jękach i błaganiach, bom się zaciął w zarozumiałości. To nie to, obywatele, raczej coś innego; ja jestem przekonany, że dobrowolnie nikogo na świecie nie skrzywdziłem, ale was o tem nie przekonam; bo myśmy za krótko ze sobą rozmawiali. Mimoto, ja myślę, że gdyby u was istniało prawo, jak u innych ludów, żeby w sprawach gardłowych nie jeden tylko dzień sądzić, ale kilka, to prawdopodobnie dalibyście się przekonać. Tak, teraz, nie łatwo w czasie tak krótkim takie wielkie oszczerstwa z siebie zmyć.

Otóż mając głębokie przekonanie, że nie krzywdzę nikogo, daleki też jestem od tego, żebym miał siebie samego krzywdzić i o sobie samym opowie-

dzieć, żem na coś złego zasłużył i miałbym coś podobnego dla siebie proponować... czemu właściwie? Ze strachu? A przed czem? Żebym nie poniósł tego, co dla mnie Meletos proponuje? Ależ ja mówię, że nie wiem ani, czy to jest coś dobrego, ani, czy to coś złego. Mam więc, zamiast tego, wybierać rzeczy, o których dobrze wiem, że są złe i co zaproponować? Więzienie? Alboż mi się chce żyć w więzieniu i jak niewolnik zależeć od ustawicznie zmieniającej się władzy, od tych jedenastu? Może grzywnę i więzienie, zanim kary nie spłacę? Ależ to to samo, co dopiero mówiłem. Ja nie mam pieniędzy, nie mam skąd płacić.

Więc może proponować wygnanie? Wybyście mi to może uchwalili. Ale jabym musiał być strasznie do życia przywiązany, gdybym miał być aż tak głupim i nie mógł wymiarkować, że wy przecież, moi współobywatele, nie mogliście wytrzymać mojego sposobu życia i myślenia, ale wam to zaczęło zanadto już ciężyć i budzić zawiść tak, że chcecie się tego wszystkiego pozbyć. A obcy, niby, zniosą to tem łatwiej? Ani mowy, obywatele! I ładnebym ja miał życie; tak pójść na wygnanie, człowiekowi w tym wieku, włóczyć się z miasta do miasta, czekać, aż go znowu skądeś wyrzucą. Jestem przekonany, że dokądkolwiekbym przyszedł, młodzież będzie słuchała moich rozmów, tak samo, jak tutaj. Gdybym ich pędził od siebie, oni się sami postarają o wygnanie mnie z miasta, namówią starszych, a jeśli ich nie będę pędził, to mnie wygnają ich ojcowie i bliscy, ze względu na nich samych.

Więc pewnie ktoś powie: „A nic nie gadać i cicho XXVIII

siedzieć, ty nie potrafisz, Sokratesie, jak sobie od nas pójdziesz na wygnanie?“ Otóż to właśnie! O tem najtrudniej przekonać niejednego z was. Bo jeżeli powiem, że to jest nieposłuszeństwo względem boga i ja dlatego nie mogę siedzieć cicho, to mi nie uwierzycie; powiecie, że to drwiny. A jeżeli powiem, że to właśnie jest też i największe dobro dla człowieka: każdego dnia tak rozprawiać o dzielności i o innych rzeczach, o których słyszycie, że i ja sam rozmawiam i własne i cudze zdania rozstrząsam a bezmyślnem życiem żyć człowiekowi nie warto, jeśli to powiem, to tem mniej mi będziecie wierzyli. Ale to tak jest, jak mówię, obywatele; tylko przekonać kogoś o tem nie jest łatwo.

Pozatem, nie zwykłem się uważać za człowieka, któremuby się coś złego należało.

Więc gdybym miał pieniądze, byłbym był proponował grzywnę, którąby mi wypadło zapłacić. Toby mi zupełnie nie szkodziło. Tymczasem tak — no, nie mam, chyba tyle, ilebym potrafił zapłacić, na tyle może zechcecie mnie skazać? Jabym może mógł zapłacić wam... minę srebrem. Więc tyle proponuję.

Tymczasem ten tutaj Platon, obywatele, Kriton, Kritobulos i Apollodoros proszą mnie, żebym proponował trzydzieści min; mówią, że sami ręczą za spłatę. Więc proponuję tyle. Porękę za srebro będziecie mieli bardzo pewną.

XXIX Dla tych paru a bardzo niewielu lat, będziecie, obywatele, osławieni i kto tylko zechce, będzie mógł miasto hańbić, żeście zabili Sokratesa, mędrca. Bo będą o mnie mówili, że jestem mędrcem, jakkolwiek

nim nie jestem, ci, którzy zechcą wam uwłaczać. Gdybyście byli poczekali niedługo czas jakiś, byłoby wam to i tak samo z siebie przyszło. Widzicie przecież mój wiek, że to już życia dużo poza mną a śmierć blisko. Nie mówię tego do was wszystkich, ale do tych, którzy wotowali dla mnie śmierć. A jeszcze i to powiem; także tylko do nich: wy może myślicie, obywatele, że ja przegrywam, dlatego, bo za mało mam argumentów takich, któremibym was potrafił przekonać, gdybym sądził, że trzeba wszystko możliwe robić i mówić, byle wyroku uniknąć. Ani mowy. Przegrywam, bo za mało mam nie argumentów, tylko bezwstydu i bezczelności i zbyt mało mi się chce mówić wam takich rzeczy, których wybyście słuchali najchętniej: gdybym tu płakał i jęczał i gdybym niewiadomo co wyprawiał i mówił rzeczy poniżej mojej godności, jak ja uważam, takie, jakieście zwykli słyszeć od innych. Tymczasem ja ani przedtem nie uważałem za stosowne robić niczego podłego z uwagi na niebezpieczeństwo, ani mi teraz żal, żem się w ten sposób bronił; wolę zginąć po takiej obronie, niż tamtym sposobem żyć. Bo ani w sądzie, ani w wojnie, ani ja, ani ktokolwiek inny nie powinien o tem przemyśliwać, żeby śmierci ujść, wszystko jedno, jak. Przecież i w bitwach często najwidoczniej można śmierci uniknąć, jeżeli ktoś porzuci zbroję, albo się z prośbami zwróci do ścigających. W każdem niebezpieczeństwie jest wiele różnych sposobów na to, żeby się śmierci wymigać, jeżeli ktoś ma odwagę, wszystko jedno co, robić i mówić.

Więc nie to jest rzecz trudna, obywatele: uniknąć śmierci; znacznie trudniej: zbrodni. Bo zbrodnia biegnie prędzej, niż śmierć. Tak też i teraz; ja tam powoli chodzę, zwyczajnie jak to starzec, to też mnie to powolniejsze zgoniło; a moi oskarżyciele to figury nielada i ostre, więc ich to, co szybsze: zbrodnia. I teraz ja odchodzę w oczach waszych winien kary śmierci; oni w oczach prawdy winni zbrodni i krzywdy. I ja się doczekam kary i oni. A to może właśnie i tak się było powinno stać, ja też myślę, że to właśnie w sam raz tak, jak jest.

XXX A teraz pragnąłbym wam coś przepowiedzieć, wy, którzyście mnie skazali. Jestem przecież u tego kresu, przy którym ludzie najwięcej wieszczyć zwykli: kiedy mają umrzeć.

Przepowiadam wam więc, obywatele, którzyście mnie zabili, że przyjdzie na was kara zaraz po mojej śmierci, znacznie cięższa, na Dzeusa, niż ta, którą mnie zabijacie. Bo wyście to dziś popełnili myśląc, że się pozbędziecie ciągłego rachunku sumienia w życiu; tymczasem wypadnie wam coś całkiem przeciwnego. Powiadam wam. Więcej się znajdzie takich, którzy was oskarżać będą; ci, których ja teraz byłem natchnieniem a wyście tego nie widzieli. Będą tem przykrzejsi, im są młodsi; to też was będą znacznie więcej oburzali.

Jeżeli sądzicie, że zabijając ludzi powstrzymacie kogoś od tego, żeby was nie ganił i nie łajał, że nie żyjecie jak się należy, to nie widzicie rzeczy, jak należy. Bo pozbywać się tego w taki sposób, jak wy, to ani podobna, ani to pięknie; najłatwiej i najpię-

kniej nie gnębić drugich, ale samemu nad sobą pracować, żeby być możliwie jak najlepszym. Tyle słów wieszczby na pożegnanie z tymi, którzy mnie skazali.

Z tymi zaś, którzy głosowali za mną chętniebym porozmawiał o tem, co się tu stało, podczas gdy władza jeszcze zajęta i nie odchodzę tam, dokąd poszedłszy umrzeć mi potrzeba. Więc poczekajcie ze mną tę chwilę. Możemy sobie jeszcze trochę pogadać, póki wolno. Bo ja wam chcę, jak przyjaciołom, wytłumaczyć tę dzisiejszą moją przygodę, co ona znaczy. Bo mnie się, sędziowie, — przecież w a s, jeżeli sędziami nazywam, to nie nadużywam wyrazu — mnie się przydarzyła rzecz dziwna. XXXI

Ten mój, zwyczajny, wieszczy głos (głos ducha) zawsze przedtem i to bardzo często się u mnie odzywał a sprzeciwiał mi się w drobnostkach nawet, ilekroć miałem coś zrobić, nie jak należy. No, a teraz mi się przydarzyło, widzicie przecież sami, to tutaj, co niejeden uważa może i naprawdę uważa za ostateczne nieszczęście. A tymczasem mnie ani, kiedym rano z domu wychodził, nie sprzeciwiał się ten znak boga, ani, kiedym tu na górę szedł, do sądu, ani podczas mowy nigdzie, kiedym cokolwiek miał powiedzieć. A przecież w innych mowach, to nieraz mi, bywało, przerwie w środku słowa. Tymczasem teraz nigdzie w tej całej historji, ani w postępowaniu mojem, ani w mowie nic mi oporu nie stawia. A cóż to, myślę, będzie za przyczyna? Ja wam powiem: zdaje się, że ta przygoda jest właśnie czemś dobrem dla mnie; niepodobna, żebyśmy

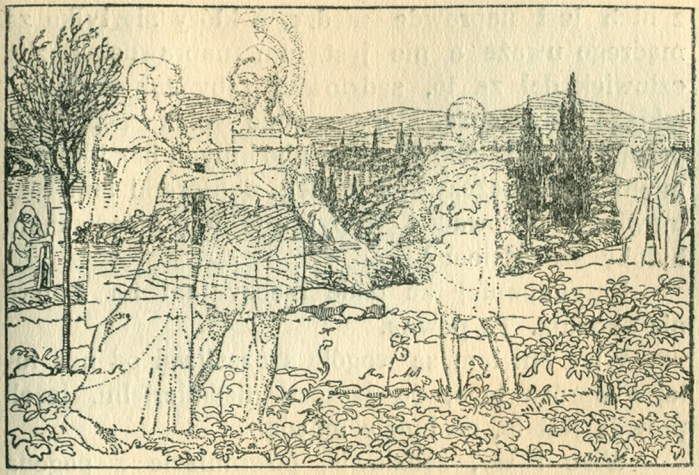
słuszność mieli my, którzy przypuszczamy, że śmierć jest czemś złem. Mam na to wielkie świadectwo. Bo nie może być, żeby mi się nie sprzeciwiał mój zwyczajny znak, gdybym nie był miał zrobić czegoś dobrego.

XXXII A zastanówmy się i nad tem, jak wielka jest nadzieja, że to coś dobrego. Otóż jednem z dwóch jest śmierć. Bo albo tam niejako nic niema i człowiek po śmierci nawet wrażeń żadnych nie odbiera od niczego, albo jest to, jak mówią, przeobrażenie jakieś i przeprowadzka duszy stąd na inne miejsce. Jeśli to brak wrażeń, jeśli to coś, jak sen, kiedy ktoś, śpiąc, nawet widziadeł sennych nie ogląda żadnych, toż przedziwnym zyskiem byłaby śmierć. Bo zdaje mi się, że, gdyby ktoś miał wybrać w myśli taką noc, w której tak twardo zasnął, że nawet mu się nic nie śniło i inne noce i dni własnego życia miał z nią zestawić i zastanowiwszy się powiedzieć, ile też dni i nocy przeżył lepiej i przyjemniej od tamtej, to myślę, że nie jakiś prywatny człowiek, ale nawet wielki król znalazłby, że na palcach policzyćby je można w porównaniu do tamtych innych dni i nocy.

Więc, jeżeli śmierć jest czemś w tym rodzaju, to ja ją mam za czysty zysk. Toż wtedy cały czas nie wydaje się ani odrobinę dłuższy, niż jedna noc.

Jeżeli zaś śmierć, to niby przesiedlenie się duszy stąd na inne miejsce i jeżeli to prawda, co mówią, że tam są wszyscy umarli, to jakież może być większe dobro ponad nią, sędziowie!

Przecież, jeśli ktoś do Hadesu przybędzie, po-



żegnawszy się na zawsze z tymi rzekomymi sędziami i znajdzie tam sędziów prawdziwych, jak to i mówią, że tam sądy odprawia Minos i Radamantys i Ajakos i Triptolemos i innych półbogów, którzy za życia swego byli sprawiedliwi — to czyż to nie miła przeprowadzka? Albo tak spotkać Orfeusza i Muzajosa i Hezjoda i Homera, ileżby, niejeden z was dał za to? Toż ja chcę częściej umierać, jeżeli to wszystko prawda.

Przecież i ja przedziwne miałbym tam rozmowy, ilekroćbym spotkał Palamedesa i Ajasa, syna Telamona i jeśli ktoś inny ze starożytnych padł z niesprawiedliwego wyroku, to porównywać swoje losy i ich cierpienia byłoby, myślę, wcale przyjemnie. A największa przyjemność byłaby ich tam badać i dochodzić ustawicznie tak, jak tych tutaj, który też

z nich jest naprawdę mądry, a który się tylko za mądrego uważa a nie jest nim naprawdę. Ileżby człowiek dał za to, sędziowie, żeby tak wybadać takiego Odysseusa, który wielkie wojsko pod Troję przyprowadził, albo Syzyfa, albo innych bez liku wymieni ktoś mężczyzn i kobiet, z któremi tam rozmawiać i obcować i wypytywać ich nieopisanem byłoby szczęściem?

Przynajmniej za takie rzeczy tam na śmierć nie skazują. To pewna.

Więc oni tam są wogóle szczęśliwsi od nas tutaj a oprócz tego, są jeszcze nieśmiertelni, jeżeli prawdą jest to, co ludzie mówią.

XXXIII Więc i wy, sędziowie, powinniście z pogodą i nadzieją myśleć o śmierci a tylko tę jedną prawdę mieć na oku, że do człowieka dobrego nie ma przystępu żadne złe ani za życia, ani po śmierci, a bogowie nie spuszczają z oka jego sprawy.

I moja sprawa także nie poszła sama takim torem; dla mnie to rzecz jasna, że umrzeć już i pożegnać się z kłopotami życia lepiej dla mnie. Dlatego też mnie nigdzie znak mój nie kierował w inną stronę i ja się na tych, którzy mnie skazali i na oskarżycieli moich nie bardzo gniewam. Jakkolwiek oni nie w tej myśli głosowali przeciwko mnie i skarzyli, tylko myśleli, że mi zaszkodzą. To im też należy zganić. O jedno tylko ich proszę: synów moich, kiedy dorosną, karzcie obywatele, dręcząc ich tak samo, jak ja was dręczyłem, jeśli zobaczycie, że o pieniądze, czy o cokolwiek innego więcej dbają, niż o dzielność i jeśliby mieli pozory jakiejś wartości, nie bę-

dąc niczem naprawdę, poniewierajcie ich tak samo jak ja was, że nie dbają o to, co trzeba i myślą, że, czemś są, chociaż nic nie są warci. Jeżeli to zrobicie, spotka mnie sprawiedliwość z waszej strony; i mnie i moich synów.

Ale oto już i czas odejść; mnie na śmierć, wam do życia. Kto z nas idzie do tego, co lepsze — tego nie wie jasno nikt — chyba tylko bóg.

OBJAŚNIENIA

I
PRAWDA A WALKA INTERESÓW

Sokrates wie, jak bardzo jego sposób bycia i mówienia odbija od ustalonych form; czuje, że mu jego swobodę i prostotę wezmą za lekceważenie sądu. Z góry za to przeprasza, ale równocześnie zaznacza, że sędzia ma o b o w i ą z e k szanować indywidualną formę, a on ma p r a w o być sobą, nawet i teraz. Jest w jego słowach raczej upomnienie, niż prośba.

Z miejsca stawia sprawę na niewłaściwej platformie. Patrzy na to, czy oskarżyciele mówili p r a w d ę i na to tylko każe zważać sędziom. Ależ zupełnie nie szło o prawdę, tylko o utrącenie kogoś z ramienia stronnictwa demokratycznego. Meletos był odkomenderowany do tego, żeby przeprowadzić czyn polityczny, a nie badanie naukowe.

Że kłamał, to każdy polityk ateński mógł wiedzieć z góry, ale nie szło o to, czy kłamie — wolno było i Sokratesowi kłamać, jeżeli chciał żyć. To było naturalne w Atenach, że każdy kłamał jak umiał i jak potrzebował; szło tylko o to, czy kłamał w interesie demokracji, czy oligarchji.

W tej atmosferze moralnej dziwnym blaskiem świecą pierwsze słowa Sokratesa. Z jednej strony

wyglądają na naiwność człowieka apolitycznego, z drugiej przypominają scenę śledztwa o 430 lat późniejszą między Jezusem a Piłatem. I tam był proces polityczny i skarga o bezbożność jako pozór, a oskarżony na śledztwie stał na stanowisku prawdy. Obaj też na tej placówce padli. Piłat nie był ani pierwszym, ani ostatnim z tych, którzy z uśmiechem politowania i niechęci patrzą na obrońców prawdy w walce interesów.

II HEKTOROWA PRÓBA WALKI OSTATNIEJ

Sokrates widzi, że skarga dzisiejsza może znaleźć posłuch tylko na tle ustalonej opinji ujemnej, jaką sobie w szerokich kołach wyrobił od lat kilkudziesięciu. Powszechnie uchodził za ulicznego sofistę i bezbożnika. Naprzód więc, zanim się oskarżeniem dzisiejszem zajmie, chce sprostować owe ustalone opinje. Czuje, że to przedsięwzięcie daremne. Z nim trzeba było żyć zbliska i być zdolnym, młodym człowiekiem, żeby go poznać i pokochać, a nie zostać wylosowanym na sędziego i przyjść słuchać go bez przygotowania poraz pierwszy w życiu a pod wrażeniem bezimiennych opinij i wymownych słów oskarżycieli. Stąd rezygnacja Sokratesa przy końcu rozdziału i coś jakby skok w głębię z zamkniętemi oczyma.

III

Nie traci jednak humoru. Sam formułuje swą złą sławę stylem skargi sądowej, jakby poddawał Melełosowi, że i o to mógł go równie dobrze oskarżyć: o heretyckie spekulacje przyrodnicze i osławione metody logiczne współczesnych sofistów. Do tego dałby się również doskonale dołączyć frazes o gorszeniu młodzieży. Jeśliby wolał, to mógłby mu

z równem powodzeniem zarzucić lekceważenie dla poważnych badań przyrodniczych, bo przecież to tak było obojętne w gruncie rzeczy, jak brzmieć miała skarga. Treść jej jest fałszywa. On się fizyką wogóle nie interesował.

IV DRWINY Z TŁUMU I JEGO WYCHOWAWCÓW

Za uczenie kogokolwiek rzeczy zdrożnych odpowiadać nie może, bo żadnych lekcyj nie udzielał i nikogo nie obowiązywał się uczyć. Teraz mówi płynnie i swobodnie. Ironizuje tych, którzy się obowiązują wyuczać młodzież dzielności, a nie dorośli do tego zadania i tych, którzy w naiwności swej biorą autoreklamę instytutów wychowawczych za dobrą monetę. Przecież, żeby się ktoś stał naprawdę dzielnym człowiekiem, musi naprzód sam przynieść odpowiednie zdolności na świat, a potem spotkać człowieka naprawdę mądrego, któryby wiedział, co to jest dzielność i wychowanie. To rzecz bardzo trudna i rzadka.

Czyż zatem możliwe jest wychowanie poważne jako przemysł i źródło zarobku?! Owe liczne prywatne instytuty wychowawcze, które za stosunkowo niewielkie pieniądze obowiązują się z poważną miną wyprowadzać nieprzebraną młodzież na dzielnych obywateli, to są zarobkowe przedsiębiorstwa sprytnych jednostek, które, wywieszając frazes obywatelski, spekulują na naiwności i ambicje szerokich kół. Nie tylko w Atenach.

Znowu nieporozumienie między Sokratesem a sędziami. Bo nie na to się dzieci do szkół posyłało, żeby zaraz były n a p r a w d ę dzielnymi ludźmi, tylko żeby jedno z drugiem „wyszło na człowieka"

i dało sobie radę w życiu. O powodzenie szło; nie o prawdę i doskonałość prawdziwą. A z tego punktu widzenia możliwy jest „przemysł wychowawczy“ i handel. Sokrates jednak tego przemysłu nie uprawiał zgoła.

V BÓG MU KAZAŁ ŚCIGAĆ WSZELKĄ PŁYTKOŚĆ

„Już tam coś na tem być musi, co o nim gadają. Bo czemu takich rzeczy nie mówią o mnie, albo o tobie?“ odezwał się z cicha sędzia rzeźnik do sklepikarza. Może ich dosłyszał Sokrates, bo, oto, podejmuje tę myśl z osobliwym uśmiechem na twarzy. Teraz mówi tak, jak do dzieci, a chce im to tylko powiedzieć: „Nienawidzicie mnie, bo, choć jestem głupi, sam to wiem najlepiej, to wyście jeszcze głupsi odemnie, a prócz tego, zarozumiali. Nie drażniłbym was, gdybym był do was podobny“. Temat nieco trudny do powiedzenia; szczególniej, jeśli to ma powiedzieć oskarżony sędziom. Na szczęście przypomina mu się Chajrefon i odpowiedź, którą przyniósł od Apollina z Delf. Dobrze. Świadkiem przeciw Meletosowi niech będzie Apollo, choćby miały być o to krzyki w audytorjum. A będą też pomruki z chwilą, kiedy tłum odczuje treść i kierunek słów.

VI Sokrates podaje swą pogardę dla tłumu po kropli. Naprzód się przekonał o głupocie i zarozumiałości jednego polityka, a potem innego. Ależ w demokratycznych Atenach chyba każdy był politykiem.

VII Ogranicza jednak swój sąd ujemny tylko do najznaczniejszych jednostek w mieście. Ci mu się przedstawiali najgorzej, ale ci też mieli wpływ naj-

większy i potrafili mu się odwdzięczyć za jego studja obyczajowe.

Studja te przedstawia Sokrates jako służbę bożą, jakgdyby je odbywał na rozkaz Apollina; jednakże wyrocznia nie kazała mu wcale zaczepiać ludzi. Przeciwnie, stwierdziła, że jest najmądrzejszy ze wszystkich; on sam, nie chcąc temu uwierzyć i nie rozumiejąc tej oceny, próbował boga przekonać, że się jego Pytja pomyliła. To podwójne oświetlenie sprawy nasuwa przypuszczenie, że dla Sokratesa słowa wyroczni stanowiły wprawdzie jedną więcej pobudkę do znanych studjów nad charakterami i słownych walk z powagami miejskiemi, ale dosłownie tej służby bożej on sam nie bierze. Raczej posługuje się tym zwrotem jako przenośnią i robi to świadomie z łagodnym uśmiechem tak, jak się dzieciom o świętym Mikołaju opowiada.

Sokrates czuł silny popęd do takiego, a nie innego sposobu życia i działania. Szanował go i nazywał głosem bożym. Boga czując we własnej piersi, nie potrzebował go aż z Delfów. Doskonałe, nie przedawnione uwagi o artystach i twórczości artystycznej.

Ci przecież pisząc i zestawiając słowa i zwroty przetwarzają nieraz zupełnie nieodpowiedzialnie energję, jaką w słowach i zwrotach nagromadziły pokolenia minione, które tworzyły język. Rzucić słowo ojczyzna, lub wolność, śmierć, lub wojna, to jak potrącić fortepian po dziadach odziedziczony, w którym niezliczone struny brzmią przypadkowym akordem. Prócz tego, nie podobna żądać od każdego, kto

dobrze pisze, żeby umiał dokonać analizy swego utworu; podobnie, jak się nie żąda od człowieka, który się dobrze poci, żeby umiał przeprowadzać analizę potu. Sokrates ma zupełną słuszność, poezja nie jest wyłącznie wytworem rozumu, ani czynność poety czynnością w całej pełni świadomą i odpowiedzialną.

VIII U rzemieślników dopiero znalazł filozof wiedzę rzeczową w sprawach zawodowych, a zarozumiałość i brak samokrytyki na wszelkich innych polach. Rzeczowej wiedzy wymagał od każdego, a polor literacki i retoryczny uważał za okrasę wykształcenia; nigdy za jego treść. Przeciwnie sofiści.

IX Sokratesa zawodem pobudzanie myśli krytycznej w poszczególnych jednostkach. Uprawia go z poświęceniem wszelkich korzyści osobistych.

X Bezwiednie też oddziaływa na młodzież, znajduje mniej lub więcej szczęśliwych współpracowników. Praca ich wszystkich budzi jednak tylko niechęć publiczną i psuje opinję filozofa. Między sokratykami i resztą Ateńczyków zachodzi zupełne nieporozumienie. Rzecz jasna, że nieporozumienia tego nie potrafiły też usunąć dotychczasowe słowa Sokratesa.

XI Program odpowiedzi Meletosowi. Sokrates nie bierze serjo tego przeciwnika, chce go ośmieszyć, pokazać sędziom, że się młody człowiek zupełnie nie orjentuje w przedmiocie swej skargi. Sokrates chce sobie zażartować z ambitnego młodzika. Nawiąże z nim djalog humorystyczny. Będzie igrał jego nazwiskiem, któreby na polskie tłómaczyć wy-

INTERMEZZO Z MELETOSEM I JEGO WARTOŚĆ OBRONNA

padało: Dbaliński, Troska, albo Zależnicki, skąd kalambury z jego troską o wychowanie i t. p. rzeczy nie do oddania w języku polskim, jeżeli się znane nazwisko Meletos zostawi nieprzetłumaczone w brzmieniu greckiem.

XII Meletos liczy się do przesady z opinją i schlebia z przyzwyczajenia tłumowi; nie śmie ryzykować twierdzenia, jakoby ktoś w Atenach nie umiał wychowywać młodzieży z wyjątkiem jednego Sokratesa. To ma być jedyny gorszyciel. Sokrates natomiast ryzykuje analogję z hodowli koni, skąd wynika, że tłum nieprzebierany nie może dodatnio wpływać na młodzież. Nie wynika stąd jednak zupełnie, żeby i Sokrates nie psuł młodzieży. Filozof musiałby dla ścisłości dowieść dopiero teraz, że sam nie jest jednym z tych wielu, którzy psują, a jest tym „ujeżdżaczem", który się zna na wychowaniu. Ale nie robi tego wcale. Nie chce dowodzić w tej chwili swej niewinności, tylko zapędzić Meletosa w kozi róg.

XIII Ten ustęp swej obrony opiera Sokrates na założeniu, że żaden przezorny człowiek nie może umyślnie psuć najbliższego otoczenia, bo wie, że toby zagrażało jemu samemu. Założenie niesłuszne, bo nie każdy popsuty szkodzi swemu gorszycielowi. To jedno. A drugie, to wieloznaczność wyrazu „gorszyć", który różni różnie wezmą. Jasne musiało być każdemu, że gdyby Sokrates np. uczył młodych Ateńczyków sympatyzować ze Spartą, a unikać rynku ateńskiego, to jemu samemu nie zagrażałoby to żadną krzywdą ze strony tych młodych ludzi, nie-

wątpliwie popsutych w pojęciu dobrego demokraty. Ten punkt zatem słaby, mocniejszy drugi, nieumyślnego „psucia“ nie powinno się zwalczać z pomocą sądu, tylko z pomocą argumentów. Chociaż i na mimowolną, a szkodliwą działalność argumenty nie zawsze są dostatecznem lekarstwem.

XIV Kompromituje się Meletos, podsuwając Sokratesowi teorje kosmologiczne Anaksagorasa. Dowiedzieć się o nich mogli młodzi ludzie z przedstawień tragedji Euripidesa w teatrze. Zarzut bezwzględnego ateizmu ma być sprzeczny w sobie. Ale też tego zarzutu nie było w skardze. Sokrates powinienby właściwie wykazać, że uznaje państwowe bóstwa ateńskie, bo o to go oskarżono, że tych określonych bóstw nie uznaje, on natomiast doprowadza Meletosa do rozszerzania zarzutu i tylko ten rozszerzony zarzut odpiera w następnym rozdziale.

XV Ktokolwiek wierzy w dzieci bogów, wierzy tem samem i w bogów. Ja wierzę w duchy, które są dziećmi bogów, zatem wierzę i w bogów samych. Mniejsza o to, w jakich. Tak dowodzi Sokrates. Tem samem nie odpiera skargi. Nie może jej odeprzeć. Jego wiara nie była wiarą państwową.

XVI Mniejsza wkońcu o Meletosa, powiada Sokrates, jakgdyby czuł, że nie odpowiedział dostatecznie na jego zarzut. Równocześnie wraca do swoich pierwszych uwag: nie Meletos go zgubi, ale ogólna niechęć tłumu. Przeczucie wyroku śmierci po niewystarczającej obronie wypowiada się w szeregu zdań. Przeczucie śmierci niezaszczytnej, bo nie w polu, ale w więzieniu, z ręki kata. Tak przynajmniej oce-

WIDMO ŚMIERCI NIE PRZESTRASZA GO, TYLKO PODNIECA

nia te rzeczy tłum. Bunt się w nim budzi i duma w nim wstaje. Śmierć jego będzie zaszczytna, achillesowa, bo poniesiona w służbie wyższych władz.

Śmierć mu mniej straszna jak zaniedbanie tego posłannictwa, które mu każe bezwarunkowo odwracać ludzi od bezmyślnego życia praktycznego, a skierowywać do pracy moralnej nad sobą. XVII

Akcenty zaciętości budzą oburzenie audytorjum. On tem silniej uderza w tony dumy i wyższości ponad otoczenie. Z humorem i zuchwale porównywa Ateny do konia zaspanego. Ale trafnie. XVIII

Duch opiekuńczy odradzał mu politycznej działalności oraz instynkt samozachowawczy opozycjonisty w stosunku do bezwzględnej, potężnej demokracji konserwatywnej. Chciał żyć i chciał działać dalej, jak dotąd. XIX

Do polityki się mieszać nie mógł, chcąc pozostać sobą i nie zginąć, bo polityka byłaby wymagała od niego ofiary z przekonań, czego on poświęcać nie umiał, nawet kiedy szło o życie. Tembardziej więc musieli go nieprzyjaciele chcieć usunąć. XX

Wbrew przekonaniu nie ustępował i nie schlebiał nikomu, a najmniej uczniom, których właściwie nie miał, bo niczyim wychowawcą odpowiedzialnym nie był. XXI

Psuć jednak młodzież mógł w pojęciu swych nieprzyjaciół, bo na to nie potrzeba zupełnie być płatnym nauczycielem i odpowiedzialnym.

Za niewinnością jego przemawia sympatja sze- XXII

regu starszych i nieuprzedzonych obywateli, którzy go znają bliżej.

„Na tych więc należałoby mieć baczne oko" — tak myśleli równocześnie niechętni z pośród sędziów.

XXIII Przedrwiwa tych, którzy łzami trafiają do sumienia sądu; sam się czegoś podobnego wstydzi. Wyczerpał argumenty i czuje, że nie do wszystkich trafił. Śmierć mu w oczach staje już wyraźniejsza, niż w rozdziale drugim. Więc tembardziej podnosi głowę: nie upokorzę się przed wami.

XXIV Raz jeszcze żąda objektywności, pozbycia się uprzedzeń i zaparcia się sympatyj i antypatyj osobistych od tłumu, w którym tak mało miał sympatji, a jeszcze mniej zrozumienia. Apel beznadziejny.

WINIEN Z niepokojem oczekiwali teraz przyjaciele Sokratesa wyniku głosowania. Po obliczeniu głosów znaleziono 280 gałek czarnych i 220 białych. Uznany zatem został za winnego większością sześćdziesięciu głosów. Gdyby trzydziestu sędziów było głosowało przeciwnie, byłby był uzyskał 250 za i 250 przeciw i tem samem wyszedłby wolny do domu. W tej chwili jednak staje wobec faktu skazania. Meletos może triumfować. W oczach przyjaciół zgroza.

XXV Sokrates sili się na spokój. On to potrafi. Spodziewał się jeszcze gorszego wyniku głosowania. Tak; po mowach oskarżycieli, ale nie przed rozprawą. A po wygłoszeniu obrony nikt chyba nie mógł napewno twierdzić, jak wyrok wypadnie. Przecież Meletos pogrążył się w djalogu prowadzonym na sali. Do zupełnie złych przeczuć nie miał powodu i Sokrates. Żartuje teraz, mówiąc, że Meletos

nie uzyskał piątej części głosów. Oczywiście, że podzieliwszy tych 280, które Sokratesa skazały, przez trzy, odpowiednio do trzech oskarżycieli, nie uzyskamy setki, ale dzielenie opiera się na żartobliwej fikcji Sokratesa, że za każdym z trzech oskarżycieli stoi trzecia część niechętnych mu sędziów, którzyby byli głosowali przeciwnie, gdyby ich nie był pociągnął dany oskarżyciel. Za tym pozornym spokojem i żartami filozofa kryje się coś zupełnie innego.

XXVI

ZABIJA SIĘ SAM WŁASNYM MIECZEM IRONJI I KONSEKWENCJI

Straszna gorycz. Sokrates streszcza swą działalność intelektualistyczną i przeciwstawia ją poziomemu życiu materjalnemu Aten. Drażni sędziów zawziętością i dumą. Czuje, że, wyższym będąc od otoczenia, pada jednak z ręki ciemnego tłumu, który go nie rozumie i nie uznaje. W sposób niesłychany prowokuje trybunał, kiedy teraz, zamiast korzystać z dobrodziejstwa ustawy i prosić sędziów o wygnanie lub o karę pieniężną, on, znaczną większością uznany winnym zbrodni przeciw państwu, proponuje dla siebie za karę wikt w świętym gmachu miasta, gdzie tlił wieczny ogień Hestji i jadali na koszt państwa mężowie najbardziej zasłużeni wraz z posłami obcych państw i zwycięzcami na igrzyskach olimpijskich.

XXVII

Zdaje sobie sprawę z tego, jak zuchwale brzmią jego słowa, ale nie spuszcza z tonu. Stwierdza krótko swą niewinność, a niesprawiedliwy wyrok tłumaczy tem, że zamało go sędziowie znają i procedura karna jest mało warta. Sam nie uznaje teraz dla siebie innego wyjścia, jak tylko śmierć. Żadna inna kara mu nie odpowiada i żadnej nie czuje się

godnym. „Ten człowiek się sam zabija“, szepnął ktoś z przyjaciół drugiemu.

XXVIII Sokrates stwierdza bezbrzeżne nieporozumienie między tłumem ateńskim a sobą. To mu jest oczywiste, że o porozumieniu mowy niema i koniec nastąpić musi. Na żart, a może na prośby przyjaciół proponuje w końcu grzywnę w kwocie jednej miny, czyli dziewięćdziesięciu koron i dopiero pod naciskiem najbliższych wnosi 30 min, czyli 2700 koron, ale i tę propozycję opatruje ironiczną uwagą o wypłacalności przyjaciół.

*

KATASTROFA W drugiem głosowaniu ośmdziesięciu sędziów przeszło na stronę Meletosa; zaczem obecnie padło za karą śmierci głosów aż 360, a zaledwie 140 przeciw niej. Dumnemi słowy swej drugiej mowy dowiódł Sokrates najlepiej, że nie uznawał bóstwa, które uznawało państwo: bóstwa Demosu, a wprowadzał inne duchy nowe, bo takiej obrony niesłychanej, jak jego dzisiejsza, nie pamiętano w Atenach. Tak nie traktował dotąd nikt Heliastów.

XXIX Spokojna wzgarda dla drapieżnego i głupiego pospólstwa. Gorycz i gniewem zdławione łzy. Sokrates wie, że trzeba być bez serca, żeby na śmierć skazywać ubogiego starca i dzielnego człowieka, który miał najlepsze pobudki swego nieznośnego trybu życia. Ale on się brzydzi litością. Raz jeszcze tylko stwierdza swą niewinność, a tem samem wyższość ponad ciemne figury oskarżycieli.

SĘDZIOWIE PRZED SĄDEM SKAZANEGO

XXX Przepowiada, że duch jego nie umrze, ale wstanie po jego śmierci w uczniach i następcach, któ-

rych stworzył za życia (Nie: „powstrzymywał", jak ogólnie tłumaczą użyty tutaj wyraz κατεῖχον). Wie zatem, że miał uczniów, choć nie był niczyim płatnym wychowawcą. Piętnuje brutalność walki prowadzonej z pomocą machiny państwowej przeciw objawom i dążnościom ducha ludzkiego.

Jeszcze Archon Król i dwaj sekretarze kończą XXXI
i podpisują protokół rozprawy; za chwilę mają skazańca oddać jedenastu zarządcom więzienia, którzy go każą odprowadzić do przeznaczonej celi. Sędziowie już się rozchodzą, oddają laski, odbierają taksy sądowe; Sokrates korzysta z chwili ostatniej, żeby się uśmiechem pożegnać z garstką życzliwych mu obywateli, których jeszcze widzi na ławach. Ostatnie spojrzenie wzgardy w stronę tych, którzy przeciw niemu głosowali. Nazywać ich sędziami to nadużywać wyrazu.

Moment ważny, bo w Kritonie Sokrates znowu uważa się za prawnie skazanego. Więc albo udaje tam, albo się unosi tutaj, albo jedno i drugie. Teraz wyrok traktuje, jak dokonany zamach morderczy, a nie mylny akt sprawiedliwości.

Z tego, że nie odczuwał swoich zwyczajnych odruchów wstecznych, wnosi półżartem smutnym, że śmierć to dobra rzecz. Ależ jego wyrok z a s k o c z y ł. On płynął z prądem zamknąwszy oczy i opuściwszy wiosła aż do katarakty. Nic dziwnego, że milczał duch opiekuńczy.

Życie tak jest ciężkie, że, jeśli go za grobem XXXII
niema wogóle, to niewielka strata, a jeśli tam jest ŁABĘDZI ŚPIEW
życie takie, jakie Orficy opisują, to warto umrzeć.

To szczęście pośmiertne bierze jednak Sokrates bardzo ostrożnie i z uśmiechem. Zgoła nie jest go pewny. Półżartem o niem mówi.

Na myśl mu przychodzą postacie z podań trojańskich, które los spotkał podobny. Palamedes to mądry syn Naupliosa, króla Euboi, który zdemaskował Odysseusa, kiedy ten nie chcąc się wybrać pod Troję udawał obłąkanego. Przez zemstę podrzucił mu Odysseus na spółkę z Agamemnonem i Diomedesem do namiotu złoto i podrobiony list niby od Priama pochodzący, a równocześnie oskarżył go o zdradę przed Grekami, którzy oskarżeniu uwierzyli i ukamienowali niewinnego bohatera.

Olbrzymi Ajas, syn Telamona walczył pod Troją równie dzielnie jak Achilles, a kiedy po śmierci Achillesa cudną zbroję poległego niesprawiedliwy sąd przyznał, nie jemu lecz Odysseusowi, Ajas z rozpaczy popadł w obłąkanie i zaczął mordować trzody baranów greckich, sądząc, że przeciwników swoich zwalcza. Oprzytomniał wkońcu, a widząc, co zrobił, przebił się sam ze wstydu własnym mieczem.

W obu tedy nazwiskach ukryta ironja. Rolę Odysseusa grają w procesie Sokratesa oskarżyciele. Podobnie, jak Palamedes demaskuje lenistwo Odysseusa, udającego obłąkanie, tak Sokrates, wyglądający niejednemu na obłąkanego, zawodowo demaskuje głupotę i lenistwo domorosłych Odysseusów. Jednego i drugiego tłum uśmierca niesprawiedliwie.

Barany Ajasa, czy to nie będą sędziowie, których Sokrates drażni i sam w końcu śmierć własną powoduje? Nieraz się musiała Platonowi postać So-

kratesa zlewać niby we śnie w jedno z bohaterami ojczystych mytów.

Pociesza się Sokrates poczuciem niewinności i uczciwie spędzonego życia, wiarą w jakiś porządek moralny w wszechświecie. Skoro dobrym ludziom nie jest dobrze na ziemi, to chyba dobrze im musi być za grobem. Jak smutno musi być filozofowi przy całej jego pogodzie na twarzy! Dzieci mu na myśl przychodzą. Najstarszy Lamprokles i malcy Sofroniskos i Meneksenos, którym bóg zdolności nie dał, a za to duże podobieństwo do matki Ksantippy. Sierotami ich zostawi teraz; byle tylko nie ludźmi takimi, jak ci liczni chciwi, drapieżni, ciemni a zarozumiali obywatele, którymi on gardzić musiał — aż do śmierci. XXXIII

KRITON

WSTĘP

Kiedy Sokratesa skazano, odpływała właśnie na wyspę Delos, doroczna uroczysta procesja do Apollina na statku, na którym niegdyś miał się Tezeusz na Kretę wyprawić, aby zabić Minotaura. Zwyczaj religijny nie pozwalał podczas nieobecności tego okrętu wykonywać wyroków śmierci. A że podróż tam i z powrotem trwała dni trzydzieści, musiał więc Sokrates miesiąc po skazaniu spędzić w więzieniu. Dni jego były policzone, przynajmniej w przybliżeniu, bo statek mógł się o dzień, dwa spóźnić, a na drugi dzień po jego przybyciu do Aten wyrok miał być wykonany. W nagrodę za wierną służbę, dał Apollo Sokratesowi trzydzieści dni życia nadzwyczajnych.

WDZIĘCZNOŚĆ APOLLINA

Trudno powiedzieć, co byłoby lepsze dla Sokratesa i tych, którzy go kochali: czy nie znać terminu śmierci tak, jak go wszyscy nie znamy, czy też lepsze było to, że termin był z góry znany i zbliżał się szybko i nieuchronnie.

Przyjaciele i znajomi odwiedzali Sokratesa w więzieniu i starali się namówić go do ucieczki. Dozór

SAMOBÓJSTWO PRZEZ BIERNY OPÓR

nie był zbyt ścisły, a za pieniądze można było wszystko uzyskać. Prawda, że w razie procesu o uprowadzenie skazańca, groziła konfiskata majątku, albo duża kara pieniężna, ale Sokrates miał przyjaciół bardzo zamożnych i wiernych. Od procesu i wyroku można się było zresztą również pieniądzmi wywinąć. Potrzeba było tylko dobrych chęci i energji ze strony przyjaciół, a przedewszystkiem było potrzeba, żeby się Sokrates sam zgodził na projekt ucieczki. Tu jednak znalazła się trudność niepokonana.

Filozof oparł się wszelkim namowom i usiłowaniom przyjaciół, oparł się najoczywistszym argumentom i najgorętszym prośbom; został i wypił podaną truciznę, dopełniając tym sposobem ajasowego samobójstwa, które był rozpoczął w sali sądowej podczas obrony.

Platon nie był przy śmierci mistrza, bo sam był wtedy złożony chorobą, jednak o tem, co się w więzieniu dzieje, wiedział, niewątpliwie, najdokładniej z relacyj przyjaciół. Opowiadano mu, dlaczego Sokrates wyjść nie chce, co i jak odpowiada na namowy. Platon słowa starego przyjaciela rozumiał; znał ich pobudki widoczne i ukryte.

Pisząc później djalog pod tytułem Kriton, dał w nim szkic psychologiczny nastroju i pobudek, które Sokratesa w więzieniu zatrzymały, przedstawił rozmowę, która mogła się była odbyć między filozofem a jego rówieśnikiem i dawnym dobrym znajomym, gdyby istotnie w jednej jedynej rozmowie był Kriton nagromadził wszystkie argumenty za

ucieczką, a Sokrates rozwinął wszystkie przeciw niej, gdyby się słowa i myśli dwóch przyjaciół były przypadkiem ułożyły w całość pięknie zamkniętą. Djalog ten jest, co do swej formy artystycznym wytworem Platona; jest równocześnie bardzo interesującem i przedmiotowem studjum psychologicznem. Poznajemy w nim, podobnie jak w obronie przed sądem, Sokratesa żywego, człowieka z krwi i kości, a nie papierową, schematyczną postać idealną. Chcąc jednak ten realizm platoński ocenić, potrzeba Kritona czytać i pomiędzy wierszami i pamiętać to, co Sokrates mówił w Obronie.

KONSEKWENCJA DYKTOWAŁA UCIECZKĘ

Przyjaciele mieli prawo spodziewać się, że Sokrates da się namówić do ucieczki. Wiedzieli przecież, z jaką pogardą osłoniętą uśmiechem politowania odnosił się filozof do Demosu ateńskiego. On sam najlepszy dał temu wyraz, kiedy w obronie traktował sędziów z góry, kiedy skargę i proces pojmował jako zamach ze strony ciemnego, zgnuśniałego tłumu przeciwko zesłańcowi bóstwa.

Żegnając się w sądzie ze sprzyjającymi mu sępziami, powiedział wyraźnie, że ich tylko uważa za sędziów naprawdę, a innych, jeżeli tak nazywa, to nadużywa wyrazu.

Zatem i wyroku nie uważał za akt sprawiedliwości — choćby mylny — tylko chyba za udały zamach morderczy, przeciwko któremu mógł i powinien się był bronić, choćby dlatego, żeby Ateny uchronić od tej zbrodni, którą, zdaniem jego, na nim samym zamierzały popełnić.

Że Sokrates umiał opierać się dążeniom i wy-

rokom władzy, kiedy mu się te dążenia lub wyroki wydawały niesprawiedliwe, tego sam dowodził w obronie i powoływał się na swe dawniejsze czyny za czasów oligarchji, zarówno jak i demokracji.

Że wyrok, który go spotkał, uważał za niesprawiedliwy i lekkomyślny, brzydki i fatalny krok ze strony Aten, o tem również szeroko mówił w obronie. Była więc uzasadniona nadzieja, że potrafi się oprzeć i temu wyrokowi władzy, który go najbliżej dotykał, a nie był wcale sprawiedliwszy, niż skazanie owych dziesięciu wodzów lub Leona ze Salaminy.

Ucieczka była wprawdzie krokiem nielegalnym, ale proponować sobie po wyroku „winien", dożywotni wikt w ratuszu wtedy, kiedy prawo pozwalało tylko wybierać pomiędzy śmiercią, wygnaniem, lub grzywną, to także nie był krok legalny, tylko drwiny z sądu — inna rzecz, że gorzkie i mądrze uzasadnione. Jeśli można było drwić z sądu przed niesprawiedliwem skazaniem, to tembardziej należało zadrwić z niego teraz, kiedy niesprawiedliwy wyrok zapadł i miał być za parę dni wykonany.

W celi więziennej można było zostawić jakiś czerep z podpisem i uwagą, że więzień, chcąc Ateny uchronić od hańby przed obliczem wieków, poszedł szukać dożywotniego wiktu zasłużonych gdzieindziej, skoro mu tej czci odmówiono w mieście rodzinnem.

Można było otrzepać pył z nóg za murami niewdzięcznego miasta, które się na zesłańcu bóstwa nie poznało i pójść pracować na innem, wdzięczniejszem, choć mniej bliskiem polu, jeżeli się stosunki ateńskie i prawa uważało zanieznośne i złe, w po-

równaniu z innemi państwami w Helladzie, a tego zdania był Sokrates od dawna.

Szereg argumentów za ucieczką przemawiających, podniósł Kriton wobec Sokratesa, dotknął jego strun bardzo delikatnych i bardzo bolesnych, odwołał się do jego zastanowienia, ambicji, miłości ojcowskiej, a na to wszystko powiedział mu Sokrates: nie pójdę, bo naprzód, nie powinienem, a po drugie, nie mogę.

DWA MOTYWY ZAMIAST JEDNEGO

Odpowiedzi więc dwie, a wystarczyłaby każda z osobna.

Pierwsza: „nie powinienem, nie godzi mi się, nie pozwala mi na to poczucie karności obywatelskiej“ zostaje w pewnej kolizji z tem, cośmy z ust Sokratesa słyszeli w obronie.

Ten sam człowiek, a jednak zupełnie innym tonem mówił dwadzieścia siedm dni temu, inny był jego stosunek do władzy. W sądzie z niej drwił bez litości; w więzieniu nie mógłby przenieść po sobie zlekceważenia wyroku, który sam piętnował jako zbrodnię.

Cztery tygodnie więzienia nie zrobiły go pokorniejszym i nie pogodziły go wcale z demokracją ateńską. Przeciwnie; on się teraz w snach czuje, jak jeden z bohaterów trojańskich, a o „szerokich kołach“ mówi z równą pogardą, jak na rozprawie. To jest ten sam człowiek, który przeprowadza konsekwentnie zamiar powzięty po wyroku: „winien“. Postanowił wtedy doprowadzić do śmierci z ręki Aten i na kielich cykuty czeka teraz wytrwale i uparcie. Uciekać nie chce, bo mu na to nie pozwala

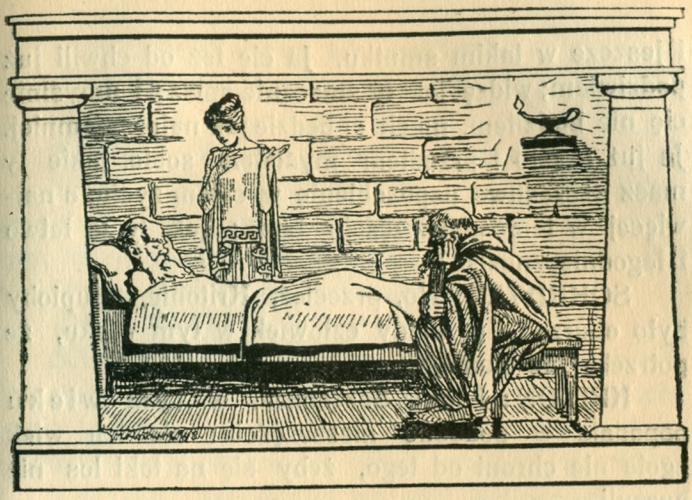
ambicja, jego główna sprężyna duchowa. Ucieczka miałaby pozory upokarzające, byłaby aktem obawy, a on stale zapewniał, że się nikogo i niczego nie boi, oprócz hańby i zbrodni. Postępowaniem własnem doprowadził do wyroku, teraz mu się trudno od niego uchylać.

Jeżeli w rozmowie z Kritonem, Sokrates staje na stanowisku bezwzględnego poszanowania powagi władzy, to trzeba te argumenty filozofa brać *cum grano salis* i zważać dobrze, ile się w nich kryje gorzkiej ironji. Trzeba też posłuchać i tych, które mu z otwartej głębi duszy płyną w końcowych rozdziałach djalogu. W nich dopiero widać, że dla tego człowieka nie ma wyjścia. Za daleko zaszedł i za wiele włożył w zachowanie swojej podniosłej pozycji duchowej; jedynem dla niego wyjściem — śmierć, wzięta z uśmiechem i pozorami równowagi ducha.

KRITON

OSOBY DIALOGU:

SOKRATES
KRITON



I

SOKRATES: Coś tak wcześnie przyszedł, Kritonie? A może to jeszcze nie rano?

KRITON: Ależ i bardzo.

SOKRATES: Która, mniej więcej?

KRITON: Świt wczesny.

SOKRATES: Szczególne, że cię raczył dozorca więzienia usłuchać.

KRITON: On mnie już zna Sokratesie, bo ja tu często chodzę, a jeszcze i coś tam dostał odemnie.

SOKRATES: A dopierocoś przyszedł, czy dawno?

KRITON: Dosyć dawno.

SOKRATES: No, to czemużeś mnie zaraz nie zbudził, tylkoś tak cicho usiadł koło mnie?

II

KRITON: Nie; na Dzeusa, Sokratesie! Toż jabym i sam dla siebie nie chciał takiej bezsenności

i jeszcze w takim smutku. Ja cię też od chwili już podziwiam; widzę, jak ty smacznie spisz; i umyślnie cię nie budziłem, niech ci będzie jak najprzyjemniej. Ja już często i przedtem myślałem sobie, jakie ty masz szczęśliwe usposobienie w całem życiu, a najwięcej w tem nieszczęściu teraz; jak ty to łatwo i łagodnie znosisz!

SOKRATES: No, przecież, Kritonie, głupioby było oburzać się, kiedy człowiek w tym wieku, że potrzeba już skończyć.

KRITON: I inni, Sokratesie, w tym wieku popadają w podobne nieszczęścia: ale ich wiek zgoła nie chroni od tego, żeby się na taki los nie burzyli.

SOKRATES: To prawda; ale czemuś ty tak rano przyszedł?

KRITON: Nowinę, Sokratesie, przyniosłem przykrą; nie dla ciebie, jak uważam, tylko dla mnie i dla twoich bliskich i przykrą i ciężką, a mnie ją, chyba, najciężej przenieść.

SOKRATES: Cóż to takiego? Pewnie okręt przyszedł z Delos, a po jego przybyciu ja mam umrzeć?

KRITON: Jeszcze nie przyszedł, ale zdaje mi się, że dzisiaj przyjdzie. Tak mówią ludzie; przyszli z Sunion i tam go zostawili. Widać z tych wiadomości, że przyjdzie dzisiaj, a ty będziesz musiał, Sokratesie, jutro życie zakończyć.

II SOKRATES: A no, Kritonie; to szczęśliwej drogi! Jeżeli się tak bogom podoba, to niech tak będzie. Ale ja nie myślę, żeby on przyszedł dzisiaj.

KRITON: Dlaczego tak myślisz?

SOKRATES: Ja ci powiem. Bo mam umrzeć na drugi dzień po przyjściu okrętu.

KRITON: Tak mówią ci tu, zarządcy.

SOKRATES: Więc myślę, że on nie jutro przyjdzie, ale pojutrze. A wnoszę tak z pewnego snu, który miałem przed chwilą tej nocy. Zdaje się że jakoś w samą porę mnie nie zbudziłeś.

KRITON: A cóż to był za sen?

SOKRATES: Wydawało mi się, jakby jakaś kobieta do mnie przyszła piękna i foremna, a białe miała suknie; zawołała mnie i powiada: dnia trzeciego przybędziesz do Ftyji, gdzie plony obfite.

KRITON: Szczególny ten sen, Sokratesie!

SOKRATES: Ale jasny, jak mi się zdaje, Kritonie.

KRITON: I bardzo — oczywiście. Ale przedziwny człowieku, Sokratesie! Jeszcze i teraz posłuchaj mnie i ratuj się! Bo mnie, jeżeli ty umrzesz, spotyka nie jedno tylko nieszczęście, ale naprzód, stracę takiego przyjaciela, jakiego nigdy drugiego nie znajdę, a jeszcze będzie się niejednemu zdawało, kto mnie i ciebie dobrze nie zna, że mogąc cię uratować, gdybym był chciał odżałować pieniędzy, nie pomyślałem o tem. A jakaż może być bardziej haniebna opinja od tej: uchodzić za takiego, co pieniądze więcej ceni, niż przyjaciół? Szerokie koła nie uwierzą, żeś ty sam nie chciał stąd wyjść, choć myśmy cię nakłaniali. III

SOKRATES: Ale cóż wam tak, poczciwy Kritonie zależy na opinji szerokich kół? Najprzyzwoitsi

i najrozumniejsi ludzie, o których się więcej dbać powinno, pomyślą, że to się właśnie tak stało, jak się stanie.

KRITON: A jednak widzisz chyba, Sokratesie, że trzeba dbać o opinję i u szerokich kół. Widzisz, co się dzieje, widać, że szerokie koła potrafią nie najmniejsze nieszczęścia powodować, ale największe po prostu, jeżeli kogo przed niemi oczernią.

SOKRATES: Gdyby to tak, Kritonie, mogły szerokie koła powodować największe zło, żeby tak mogły i największe dobro, dobrzeby to było. Tymczasem one, ani jednego, ani drugiego nie potrafią. Ani mądrym człowieka nie zrobią, ani głupim, ot, robią to, co im się trafi.

IV KRITON: Tak, tak; niech tam będzie. Ale to, Sokratesie, powiedz mi: prawda, tobie chodzi o mnie i o innych przyjaciół, żeby, jeślibyś stąd uszedł, donosiciele nam nie robili kłopotów za to, żeśmy cię stąd wykradli i żebyśmy nie musieli albo całym majątkiem nałożyć, albo grubemi pieniądzmi, albo i jeszcze się nam coś, oprócz tego, oberwie; więc jeżeli się boisz czegoś podobnego, to daj temu pokój! Przecież, żeby ciebie uratować, naszą powinnością jest podjąć to niebezpieczeństwo i jeszcze większe niż to, jeżeliby potrzeba. Więc posłuchaj mnie i koniecznie tak zrób!

SOKRATES: Ja i o tem myślę, Kritonie i o wielu innych względach.

KRITON: Więc i o to się nie bój. Przecież to nawet nie wielkie sumy, co tu niektórzy gotowi wziąć, uratować cię i wyprowadzić stąd. Przytem,

czy ty nie znasz tych donosicieli, jak ich łatwo podpłacić, jak na nich potrzeba mało pieniędzy. A tobie wystarczą, myślę, moje pieniądze; będzie dość. Potem, jeżeli się o mnie boisz i myślisz, że nie trzeba ruszać moich, toż ci tu znajomi gotowi pieniądze złożyć. Jeden nawet już przyniósł właśnie na ten cel, ile potrzeba: Simmjas z Teb. A gotów jest i Kebes i innych wielu bardzo. Więc, jak mówię, nie bój się o to i nie opuszczaj rąk, zamiast się ratować, ani, jakeś tam w sądzie mówił, tem się nie gryź, że, gdybyś stąd wyszedł, to nie miałbyś co ze sobą począć. Bo i wszędzie indziej, gdzie tylko przyjdziesz, będą cię ludzie kochali. A gdybyś chciał pójść do Tessalji, to ja tam mam znajomych; oni cię będą bardzo szanowali i będziesz u nich bezpieczny i nikt ci nie będzie dokuczał w Tessalji.

A jeszcze, Sokratesie, mam to wrażenie, że nawet nic godziwego nie zamyślasz zrobić, oddając się na śmierć, kiedy się możesz uratować. I tak się spieszysz do tego, do czegoby się i wrogowie twoi mogli spieszyć i pospieszyli się też, żeby cię zgubić. V

A oprócz tego, zdaje mi się, że i chłopców własnych rzucasz na pastwę losu; mógłbyś ich wychować, wyprowadzić na ludzi, a ty ich rzucasz i zabierzesz się; niech sobie robią, co chcą, ciebie to nic nie obchodzi. I co z nimi będzie? — oczywiście — jak to zwykle z sierotami, kiedy same zostaną na świecie. Bo, albo się nie powinno rodzić dzieci; albo już razem z niemi biedę gryźć i chować i kształcić. A ty, mam wrażenie, wybierasz sobie tak, cobądź. A to trzeba tak, jakby wybrał człowiek

dzielny, człowiek odważny, to wybierać, kiedy ktoś mówi, że o dzielność dbał przez całe życie.

Ja doprawdy, ja się i za ciebie i za nas, za twoich przyjaciół wstydzę; to wszystko, co się z tobą stało, będzie tak wyglądało, że się przez jakiś brak woli u nas takie rzeczy porobiły i to wniesienie skargi do sądu; przecież weszła, choć mogła była nie wpłynąć i sam przebieg procesu, jak się odbył i ten koniec teraz, jak na śmiech na to wszystko; przez jakieś tchórzostwo, przez niemrawe postępowanie z rąk się nam wszystko wymknęło, powiedzą, bośmy cię wcale nie wyratowali, ani ty samego siebie, a można było przecież i dałoby się, gdybyśmy my byli choć coś trochę warci!

Więc to, Sokratesie, zważ, żeby oprócz nieszczęścia, jeszcze i wstydu nie było i dla ciebie i dla nas. Zastanów się przecież a lepiej, już i nie pora się zastanawiać, tylko się zdecydować. Decyzja jedna tylko. Tej nocy przecież wszystko się to musi odbyć. Jeżeli jeszcze poczekamy, nic się nie da zrobić i nic niepodobna! Więc na każdy sposób, Sokratesie, posłuchaj mnie i koniecznie, bezwarunkowo tak zrób, nie inaczej!

VI SOKRATES: Kochany Kritonie! Bardzo cenne twoje chęci, gdyby tylko w nich była pewna poprawność. A jeśli nie, to, im są gorętsze, tem przykrzejsze. Więc trzeba się nam zastanowić, czy to zrobić, czy nie. Ja już taki jestem; nie tylko teraz, ale zawsze taki, nie umiem nikogo i niczego innego z moich słuchać, jak tylko argumentu, który mi się po rozwadze wyda najlepszy. A tych

argumentów, które przedtem przytaczałem, nie umiem teraz wyrzucić za drzwi, kiedy mnie dzisiejszy los spotkał, ale coś mi się wydają zupełnie takie same i te same szanuję i czczę, co i przedtem. Jeżeli dzisiaj nie znajdziemy lepszych, niż one, to bądź przekonany, że ja ci nie ustąpię pod żadnym warunkiem, nawet gdyby nas potęga szerokich kół jeszcze więcej, niż teraz straszyła, niby małe dzieci i na stracha nam nasyłała kajdany, skony, konfiskaty dóbr...

Więc jakby to najprzyzwoiciej można rozpatrzyć? Może naprzód weźmy ten argument, który ty mówisz; to o tych opinjach: czy się dobrze mówiło za każdym razem, czy nie; że na jedne opinje należy zważać, a na drugie nie. Czy też, zanim ja miałem umrzeć, to była prawda, a teraz pokazało się, że tak tylko, aby mówić, mówiło się inaczej, a naprawdę to było dzieciństwo i takie sobie gadanie. Ja chcę naprawdę razem z tobą, Kritonie, rozpatrzeć, czy mi się ten argument przedstawi w nieco innem świetle, na tle mojego obecnego stanu, czy w tem samem i albo mu damy pokój, albo też będziemy go słuchali.

Otóż mam wrażenie, że zawsze tak jakoś mówili ludzie uważający, że jednak coś mówią, tak, jak w tej chwili ja mówiłem, że z opinji, które ludzie żywią, trzeba jedne cenić wysoko, a drugich nie. Na bogów, Kritonie! ty nie uważasz, że to dobrze powiedziane? Przecież ty, po ludzku rzeczy biorąc, nie masz umrzeć jutro; c i e b i e nie może zbijać z tropu to obecne nieszczęście. Pomyślże!

Nie wydaje ci się słusznem to zdanie, że nie wszystkie opinje ludzkie należy szanować, ale jedne tak, a drugie nie. I nie wszystkich ludzi, tylko jednych tak, a drugich nie. Co powiesz? To nie jest słuszne zdanie?

KRITON: Słuszne.

SOKRATES: Więc, które coś warte, te szanować, a które nic, tych nie?

KRITON: Tak.

SOKRATES: A warte coś opinje ludzi myślących, a nic niewarte opinje jednostek bezmyślnych?

KRITON: No pewnie.

VII SOKRATES: A proszę cię; jakże się znowu takie rzeczy mówiło: człowiek, który ćwiczy ciało i zajmuje się gimnastyką, czy zważa na pochwały i nagany każdego i na mniemania, czy też tylko na jednego jedynego, który jest właśnie lekarzem, lub nauczycielem gimnastyki?

KRITON: Na jednego tylko.

SOKRATES: Więc bać się trzeba nagany, a cenić sobie pochwały tylko tego jednego, a nie szerokich kół?

KRITON: Tak; to jasne.

SOKRATES: Więc on tak powinien postępować i ćwiczyć się i jeść i pić, jak się to wydaje jednemu: temu, co nad nim stoi i rozumie się na rzeczy raczej, niż jak się wszystkim innym wydaje?

KRITON: Tak jest.

SOKRATES: Dobrze. A gdyby nie słuchał tego jednego i nie szanował jego zdania i nie cenił jego pochwał, a cenił zdania szerokich kół, choćby i nie-

znających się, nic a nic na rzeczy, czy mu się nic złego przez to nie stanie?

KRITON: Jakże nic?

SOKRATES: A jakież to zło i czego się tyczy i do czego się odnosi u tego, co nie słucha?

KRITON: Oczywiście, że dotyczy jego ciała; on przecież ciało marnuje.

SOKRATES: Dobrze mówisz, zatem i w innych sprawach, Kritonie, tak samo, żeby nie przechodzić wszystkiego po kolei i tak samo tam, gdzie chodzi o sprawiedliwość i niesprawiedliwość i hańbę i piękno i dobro i zło, rzeczy, o których teraz radzimy — czyśmy w tych rzeczach powinni iść za opinją szerokich kół i bać się jej, czy też za opinją jednego, jeśli się ktoś na tych rzeczach rozumie i takiego należy szanować i bać się go więcej, niż wszystkich innych razem, bo jeśli za nim nie pójdziemy, to popsujemy i splamimy coś, co się przez sprawiedliwość lepszem staje, przez niesprawiedliwość ginie? czy nie tak?

KRITON: Tak mi się zdaje, Sokratesie.

SOKRATES: No więc; otóż, jeśli to, co się VIII
przez higjenę lepsze staje, a przez chorobliwe wpływy psuje, zniszczymy, słuchając czegoś innego, a nie opinji tych, którzy się na rzeczy rozumieją, to czy nam warto żyć, kiedy nam się to coś popsuje, a to niby jest ciało? Czy nie?

KRITON: Tak.

SOKRATES: Więc czy warto nam żyć z ciałem zepsutem i podłem?

KRITON: Nie.

SOKRATES: A z tem nam warto żyć zepsutem, co niesprawiedliwość plami i czemu sprawiedliwość służy? czyżbyśmy uważali, że mniej wart od ciała ten jakiś nasz pierwiastek, którego się tyczy niesprawiedliwość i sprawiedliwość.

KRITON: Nigdy.

SOKRATES: Więc on więcej wart?

KRITON: I znacznie.

SOKRATES: Więc, mój kochany, może nie tak bardzo się należy troszczyć o to, co o nas powiedzą szerokie koła, ale, co powie ten, który się rozumie na sprawiedliwości i niesprawiedliwości; on jeden i prawda sama. Więc naprzód niesłuszna twoja teza, kiedy twierdzisz, żeśmy się powinni troszczyć o opinję szerokich kół tam, gdzie chodzi o to, co sprawiedliwe i piękne i dobre i na odwrót. Ale znowu, powie może ktoś, mogą nas te szerokie koła życia pozbawić!

KRITON: Oczywiste i to; z pewnością powie, Sokratesie!

SOKRATES: Słusznie mówisz. Ale wiesz co? Ten argument, któryśmy przeszli, wydaje mi się jeszcze ciągle taki sam, jak dawniej. Więc zobacz znowu ten, czy zostajemy przy tem, czy nie, że nie żyć za każdą cenę potrzeba, ale dobrze żyć.

KRITON: A, zostajemy.

SOKRATES: A, że dobrze i pięknie i sprawiedliwie, to jest jedno i to samo, zostajemy przy tem, czy nie?

KRITON: Zostajemy.

SOKRATES: No, więc: na założenia się zga- IX
dzamy; zobaczmyż, czy wynika z nich, żem ja powinien próbować ucieczki stąd, choć Ateny nie pozwalają, czym nie powinien. Jeśli się pokaże, żem powinien, to próbujmy, jeśli nie, dajmy pokój. A to, co ty mówisz, te uwagi o wydatkach, o opinji, o wychowaniu dzieci, to bodaj, czy nie będą uwagi dobre dla tych, którzy od ręki skazują człowieka na śmierć, a potemby go z martwych wskrzesić gotowi, gdyby mogli; nie dla człowieka myślącego; nie — to dla tych szerokich kół. A my, skoro tok rozumowania tędy prowadzi, bezwarunkowo nie bierzmy niczego innego pod uwagę, jak tylko to, cośmy w tej chwili mówili: czy słusznie postąpimy, dając pieniądze tym, którzy mnie mają stąd wyprowadzić, niby przez wdzięczność i sami też, jeden z nas ułatwi ucieczkę, a drugi się pozwoli wyprowadzić, czy też naprawdę popełnimy zbrodnię, robiąc to wszystko. I jeżeli się takie postępowanie okaże zbrodnią, to już bezwarunkowo nie będziemy brali w rachubę tego, czy umrzeć wypadnie, jeżeli zostaniemy na miejscu i cicho będziemy siedzieli, ani, czy nas cokolwiekbądź spotka, byle tylko nie zbrodnia.

KRITON: Mnie się wydaje, że ty dobrze mówisz, Sokratesie. Więc patrzaj, co robić.

SOKRATES: Słuchaj, dobra duszo; rozważajmy razem i jeżeli gdzieś będziesz miał coś przeciw temu, co powiem, to mów, zaprzecz — ja cię posłucham. A jeżeli nie, to nie powtarzaj w swojej poczciwości, wciąż tego samego, że ja powinienem stąd

wyjść, wbrew woli Aten. Bo mnie ogromnie zależy na tem, żebym to zrobił, kiedy cię przekonam, a nie wbrew tobie. Więc zobacz początek rozważań, czy ci wystarcza i próbuj odpowiadać na pytania, jak możesz, najlepiej.

KRITON: Spróbuję.

X SOKRATES: Żadnym sposobem nie powinno się, powiemy, popełniać zbrodni dobrowolnie, czy też w jednym sposobie można, a w innym nie? Czy też zbrodnia nigdy nie jest ani dobra, ani piękna, jakeśmy się na to nieraz dawniej zgadzali. (Jak się to przed chwilą mówiło). Może się gdzieś w tych kilku dniach ostatnich ulotniły te zasady, któreśmy przedtem wspólnie uznawali, kto wie Kritonie, my, ludzie w tym wieku, starcy, rozprawialiśmy tak poważnie, a nie widział sam jeden z drugim, żeśmy zupełnie jak małe dzieci; czy może raczej rzeczy mają się zupełnie tak samo, jakeśmy i my przedtem mówili, wszystko jedno, czy tak mówią szerokie koła, czy nie i wszystko jedno, czy nam wypadnie coś jeszcze gorszego znieść, niż to teraz, czy coś lżejszego, zawsze zbrodnia jest czemś złem i hańbą dla tego, który ją popełnia, bez względu na wszystko inne? Zgodzimy się, czy nie?

KRITON: Zgodzimy się.

SOKRATES: Więc nigdy zbrodni popełniać nie wolno?

KRITON: Nie; oczywista.

SOKRATES: Ani, jeśli na kimś zbrodnię popełniono, zbrodnią odpłacać, jak sądzą szerokie koła, skoro wogóle nigdy zbrodni popełniać nie wolno?

KRITON: Zdaje się, że nie.

SOKRATES: No cóż; a źle robić trzeba, Kritonie, czy nie?

KRITON: Nie trzeba przecież, Sokratesie!

SOKRATES: Czyżby? A złem płacić, kiedy się zła doznało, jak mówią szerokie koła, to sprawiedliwie, czy niesprawiedliwie?

KRITON: Nigdy.

SOKRATES: Więc może robić ludziom źle, to nic innego, jak zbrodnia.

KRITON: Prawdę mówisz.

SOKRATES: Więc ani zbrodnią odpłacać nie trzeba, ani źle robić nikomu, nawet, gdybyś niewiadomo czego od ludzi doświadczył. Kritonie, kiedy się na to zgadzasz, uważaj, żebyś się nie zgodził wbrew osobistemu przekonaniu. Ja wiem, że mało kto tak myśli i mało kto będzie tego zdania. A jeżeli jeden tak myśli, a drugi nie, tacy dwaj nigdy się nie zgodzą na wspólne zasady działania; koniecznie będzie jeden drugim gardził, widząc, jak się tamten decyduje. Więc zastanów się i ty bardzo uważnie, czy zgoda między nami, czy moje przekonanie podzielasz i czy zaczniemy naszą naradę od tego, że nigdy nie godzi się, ani zbrodni popełniać, ani zbrodnią odpłacać, ani, jeśli się zła doznało, złe za złe oddawać. A może odstępujesz i nie godzisz się na punkt wyjścia. Bo ja m a m to przekonanie już od dawna i teraz jeszcze je wyznaję, a ty jeśli może masz jakie inne zdanie, to powiedz, poucz mnie! Jeżeli zostajesz przy dawnem, to posłuchaj, co dalej.

KRITON: Zostaję i zgadzam się z tobą; więc mów.

SOKRATES: Mówię tedy dalej, a raczej pytam: czy, jeśli się z kimś umówisz na rzecz słuszną, masz tego dotrzymać, czy zrobić zawód?

KRITON: Dotrzymać.

XI SOKRATES: Jeżeli tak, to przypatrz się: jeżeli się stąd wyniesiemy, a nie przekonamy państwa, zrobimy komuś źle i to komu najmniej należy, czy też nie? I czy dotrzymamy umowy, którąśmy zawarli na rzecz słuszną, czy nie?

KRITON: Nie umiem ci, Sokratesie, odpowiedzieć na to pytanie; nie rozumiem.

SOKRATES: Więc tak, popatrz, gdybyśmy tak mieli stąd uciekać, czy jak tam to zechcesz nazwać, a tuby prawa przyszły i państwo we własnej osobie, stanęłyby nam nad głową i zapytały: słuchaj, Sokratesie, co ty zamyślasz zrobić? Chyba nic innego tylko tym czynem, który podejmujesz, myślisz nas, prawa zgubić i całe państwo, o ile w twojej mocy? Czy sądzisz, że potrafi jeszcze istnieć i nie wywrócić się do szczętu państwo, w którem wydane wyroki mocy żadnej nie mają, ale im ludzie prywatni władzę odejmują i ważność? Co powiemy, Kritonie, na te i tym podobne słowa? Bo przecież nie jednoby ktoś mógł powiedzieć, już nie mówię retor, w obronie tego prawa zagrożonego, które nakazuje, żeby wyroki wydane miały moc. A może powiemy im, że zbrodnię popełniło przecież na nas państwo i wyrok wydało niesprawiedliwy. To, czy co innego powiemy?

KRITON: To, na Dzeusa, Sokratesie!

XII SOKRATES: A cóż, jeśliby prawa powiedziały: Sokratesie, a czy i na takie postępowanie stanęła



zgoda między nami, a tobą, czy też na to, że trzeba trwać przy wyrokach, które państwo wyda? A gdybyśmy się dziwili, że one tak mówią, gotoweby powiedzieć, że: ty się nie dziw Sokratesie, tylko odpowiadaj; to przecież twój zwyczaj pytania i odpowiedzi. A zatem: co masz przeciwko nam i przeciw państwu, że nas chcesz teraz w niwec obrócić? Czyż nie pierwej myśmy ciebie zrodziły i nie przez nas pojął twoją matkę ojciec twój i spłodził ciebie? Więc powiedz tym z nas, tym prawom, które małżeństw dotyczą, masz do nich jakiś żal, że nie są dobre? Nie mam żalu, powiedziałbym. Więc może do tych, które dotyczą wyżywienia i wychowania dzieci? Przecież i tyś odebrał wychowanie. Więc niedobrze nakazywały te z nas, które na to są

ustanowione, kiedy polecały ojcu twemu, żeby cię w muzyce, w literaturze i gimnastyce kształcił?

Dobrze — odpowiedziałbym. Pięknie; a skoroś się urodził i wychował i wykształcił, to czyż potrafiłbyś powiedzieć: po pierwsze, żeś nie był naszym synem i niewolnikiem — ty sam i twoi przodkowie?

A jeżeli tak, to co myślisz, że równe prawa twoje i nasze? I cokolwiek mybyśmy tobie próbowały zrobić, to myślisz, że ci się godzi nam robić na odwet to samo? Czy też wobec ojca nie miałeś równych praw, ani wobec pana, jeżeliś go miał, tak, żeby im zaraz oddawać, czegokolwiekbyś od nich doświadczył i nie wolno ci było zaraz odpowiadać, kiedyś złe słowa usłyszał, ani bić na odwet, kiedy ciebie bito, ani innych wielu podobnych rzeczy robić. A wobec ojczyzny i wobec praw, to ma ci być wolno, tak, że kiedy my ciebie chcemy zgubić, bo to uważamy za słuszne, to ty będziesz próbował na odwet gubić nas prawa i ojczyznę? I ty będziesz, robiąc to, mówił, że postępujesz sprawiedliwie? Ty, który naprawdę dbasz o dzielność! Czy też taki z ciebie mędrzec, a nie dojrzałeś że od matki i od ojca i od innych przodków wszystkich cenniejsza jest ojczyzna i większej czci godna, i świętsza i we większem zachowaniu jest u bogów i u ludzi myślących i czcić ją potrzeba i ustępować jej i czołem bić przed ojczyzną, kiedy się gniewa nawet, raczej, niż przed ojcem i albo ją przekonywać, albo robić, co ci każe i znosić, jeżeli coś znosić poleci, a cicho siedzieć, choćby cię bito więziono i wiedziono na wojnę, na rany i na śmierć;

masz to robić, bo tego wymaga sprawiedliwość i nie wolno ci się usuwać, ani ustępować z pola, ani rzucać szyków, ale i w wojnie i w sądzie i wszędzie indziej robić masz, co ci każe państwo i ojczyzna, albo ją przekonywać, co jest właściwie sprawiedliwe, ale gwałtu zadawać się nie godzi, ani matce, ani ojcu, ani tem mniej ojczyźnie. Cóż my na to powiemy Kritonie? Prawdę mówią prawa, czy nie?

KRITON: Zdaje mi się, że tak.

SOKRATES: Przypatrz się więc Sokratesie, powiedziałyby z pewnością prawa, czy my to słusznie mówimy, że niesprawiedliwie chcesz w tym wypadku z nami postąpić? Myśmy ciebie zrodziły, wychowały, wykształciły, obsypały wszelkiemi dobrami, jakiemiśmy tylko mogły i ciebie i wszystkich innych obywateli, a jednak ogłaszamy wszem wobec i pozwalamy każdemu Ateńczykowi, który tylko zechce i uzyska prawa obywatelskie, przyjrzy się stosunkom w państwie i nam prawom, a my mu się nie spodobamy, to wolno mu zabrać manatki i iść dokąd zechce. Żadne z nas, żadne prawo mu nie stoi na przeszkodzie i nie zabrania; może sobie przecież każdy z was pójść do kolonji, jeżeli mu się my nie podobamy i państwo, a jeśliby się chciał gdzieś indziej przenieść i tam pójść, niech sobie idzie, gdzie chce i zabierze ze sobą, co tylko ma. Ale, jeśli który z was siedzi na miejscu i widzi, jak my tu sądzimy sprawy i jak my wogóle państwem rządzimy, taki już, uważamy, czynem zawarł z nami umowę, że będzie spełniał wszystkie nasze rozkazy,

XIII

więc, kto nie słucha, ten potrójną, powiadamy, zbrodnię popełnia, bo nam, rodzicom własnym, nie jest powolny i wychowawcom i umówiwszy się z nami o posłuszeństwo, ani nas nie słucha, ani nas nie przekonywa, jeżeli coś niedobrze robimy. A przecież my mu przedkładamy rzecz, a nie narzucamy nigdy rozkazów w sposób ordynarny; zawsze zostawiamy jedno z dwojga: albo nas przekonaj, albo rób, a on nie robi ani jednego, ani drugiego.

XIV Otóż, mówimy, Sokratesie, że te zarzuty będą ciążyły i na tobie, jeżeli zrobisz to, co zamyślasz. I nie będziesz ty najmniej winien w Atenach, ale ty przedewszystkiem. A gdybym ja powiedział: dlaczego właściwie? to z pewnością słusznieby się mnie uczepiły i powiedziały, że pośród wszystkich Ateńczyków, ja właśnie przedewszystkiem taką z niemi zawarłem umowę. Powiedziałyby: Sokratesie, my mamy wielkie świadectwa na to, że i myśmy ci się podobały i państwo. Bobyś przecież nie był, więcej niż każdy inny Ateńczyk, w mieście przebywał, gdyby ci się nie było więcej, niż innym podobało.

Przecież nawet na uroczystość nigdyś z miasta nie chodził, chyba raz na Istmus, ani nigdzie indziej, chyba gdzieś na wojnę; nigdyś żadnej podróży nie odbywał, jak inni ludzie i nie brała cię chętka poznania innych państw i innych praw, tylko myśmy ci wystarczały i nasze państwo. Tak bardzo byłeś za nami i godziłeś się być pod naszemi rządami obywatelem; zresztą i dzieci tutaj miałeś, jako, iż ci się to państwo podobało. Przecież

eszcze podczas procesu, mogłeś był sobie zaproponować wygnanie, gdybyś był chciał; mogłeś to samo, co teraz myślisz zrobić, wbrew woli państwa, uczynić wtedy za jego wolą. A tyś się wtedy stawiał, że się nibyto nie będziesz oburzał, gdyby ci przyszło umrzeć i wolałeś, jakeś mówił, raczej śmierć, niż wygnanie. A teraz, ani tamtych słów nie szanujesz, ani na nas na prawa nie zważasz, chcesz nas w niwec obrócić, postępujesz jak najlichszy niewolnik, uciekać chcesz wbrew umowom, wbrew kontraktom, któremiś się zobowiązał być obywatelem. Więc naprzód nam na to właśnie odpowiedz, czy to prawda, co mówimy, żeś ty się zgodził być obywatelem wedle nas, a zgodziłeś się czynem, nie słowem, czy też to nieprawda? Co my powiemy na to, Kritonie! Cóż, chyba się zgodzimy?

KRITON: Koniecznie, Sokratesie.

SOKRATES: Cóż więc, powiedziałyby, ty łamiesz umowy i zobowiązania, zawarte z nami, a nie zawierałeś ich pod przymusem, ani cię nikt w błąd nie wprowadzał, aniś się nie musiał decydować w krótkim czasie, tylko przez siedmdziesiąt lat, w których mogłeś się zabrać, jeżeliśmy ci się nie podobały umowy ci się nie wydawały słuszne. A tyś ani Sparty nie wybrał, ani Krety, o których zawsze mówisz, że tam są dobre prawa, ani żadnego innego z miast helleńskich, ani barbarzyńskich; jeszcze mniej się z miasta ruszałeś, niż kulawi, ślepi i inne kaleki; tak szczególnie ci się państwo ateńskie podobało; i my prawa tutejsze, oczywiście. Bo komużby się podobało państwo bez praw? I ty teraz

nie myślisz dotrzymać umowy? Przecież, jeśli nas posłuchasz, Sokratesie! I ty nie będziesz się ośmieszał tem opuszczeniem miasta.

XV Więc popatrz, tak; łamiąc to i uchybiając temu w czemkolwiek, co ty dobrego zrobisz i sobie samemu i swoim najbliższym? Bo, że się twoi bliscy także narażają na wygnanie z państwa i utratę praw obywatelskich, albo konfiskatę dóbr, to oczywista. A ty sam, jeśli pójdziesz do któregoś z najbliższych miast, do Teb, czy do Megary, tu i tam są dobre prawa i porządek, to naprzód, przyjdziesz tam jako wróg ich ustroju społecznego i kto tylko się tam troszczy o swoje państwo, będzie na ciebie patrzał z podełba, jako na tego, co prawa w niwec obraca i utwierdzisz tylko opinję swoich sędziów; będą ludzie myśleć, że oni słuszny wyrok wydali. Przecież, kto prawa wywraca, musi mocno wyglądać na gorszyciela ludzi młodych i niewiele myślących. Więc może będziesz unikał państw praworządnych i ludzi co najporządniejszych? Ale tak robić, to czyż ci nie wstyd będzie żyć? Albo zaczniesz się zbliżać do nich i najbezczelniej nawiązywać rozmowy — jakie rozmowy, Sokratesie? może takie, jak tu, że dzielność i sprawiedliwość, to najwyższe wartości człowieka i życie według praw i same prawa?

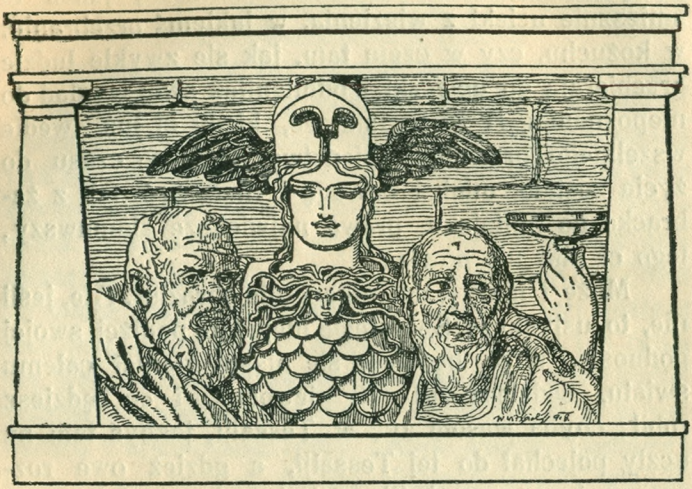
I nie uważasz, że wtedy w nieprzyzwoitem świetle stanie cała postać i postępowanie Sokratesa? Spodziewać się tego trzeba. Więc może zabierzesz się stamtąd, a pójdziesz do Tessalji, do tych znajomych Kritona. Tam największy nieporządek i roz-

pusta; tamby cię może chętnie słuchali, jakeś to śmiesznie uciekł z więzienia, w jakiemś przebraniu, w kożuchu, czy w czem tam, jak się zwykle ludzie przebierają do ucieczki i odmieniłeś swój wygląd do niepoznania. A że ty, starzec, kiedy ci już, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, mało co czasu do życia zostało, miałeś odwagę i chęć żyć tak z żebracka po hultajsku, prawa największe złamawszy, tego ci nikt nie powie?

Może i nikt, jeżeli nikogo nie obrazisz. Ale, jeśli nie, to usłyszysz Sokratesie niejedno, poniżej swojej godności. Więc będziesz się nisko kłaniał całemu światu, będziesz żył jak niewolnik i co będziesz robił; chyba wesoło żyć w Tessalji, jakbyś tam na uczty pojechał do tej Tessalji, a gdzież owe rozprawy, te o sprawiedliwości i o innej dzielności, gdzie?

Ale ty chcesz pewnie żyć dla dzieci, żeby je wychować, wykształcić. Jakto? do Tessalji ich zawieziesz i tam ich będziesz chował i kształcił na obcych we własnej ojczyźnie; niech ci jeszcze i to mają do zawdzięczenia!? Czy też to nie; na miejscu niech się chowają, ale, jak ty będziesz żył, to lepiej się wychowają i wykształcą, chociaż ciebie przy nich nie będzie. Przecież bliscy twoi będą o nich dbali. Czy też może, jeśli do Tessalji pojedziesz, to będą dbali, a jeśli do Hadesu, to nie będą? Przecież, jeśli są coś warci, ci co się za twoich najbliższych podają, to można na nich i tak liczyć.

Więc tak, Sokratesie, posłuchaj nas; myśmy cię XVI
wychowały i nie ceń ponad nas dzieci, ani życia,



ani niczego innego nie przenoś nad sprawiedliwość, abyś i jak do Hadesu przyjdziesz, mógł to wszystko powiedzieć tamtejszym władcom na swoją obronę. Bo ani się tobie tutaj taki czyn nie wydaje lepszy, ani sprawiedliwszy, ani bardziej zbożny, ani nikomu z twoich bliskich, ani też tam, kiedy przyjdziesz, lepiej ci z nim nie będzie.

Teraz odchodzisz pokrzywdzony, jeśli odejdziesz, ale krzywda cię nie od nas, nie od praw spotyka, tylko od ludzi; a jeżeli wyjdziesz stąd tak haniebnie krzywdą za krzywdę zapłaciwszy i złe za złe oddawszy, jeśli umowy swoje i zobowiązania wobec nas złamiesz i źle zrobisz tym, którym najmniej należało, bo sobie samemu i przyjaciołom i ojczyźnie i nam, to my się będziemy na ciebie gniewały za życia,

a tam nasi bracia, tamte prawa w Hadesie, nie podejmą cię łaskawie; dowiedzą się, żeś ty nas próbował w niwec obrócić, o ile było w twojej mocy. Więc niechże cię Kriton czasem nie nakłoni, żebyś zrobił to, co on mówi raczej, niźli my.

XVII

Przyjacielu drogi, Kritonie! Bądź przekonany, że mi te rzeczy ciągle w uszach dzwonią tak, jak korybantom flety w uszach grają i tak się we mnie mocno głos tych słów rozlega, że nie potrafię słuchać innych. Bądź przekonany, stale mi się przynajmniej teraz zdaje, że jeśli powiesz coś przeciw temu, będziesz mówił daremnie. Jednakże, jeśli uważ, że coś wskórasz, to mów.

KRITON: Nie, Sokratesie; nie mam co mówić.

SOKRATES: Więc daj pokój; zróbmy tak, skoro tak bóg prowadzi.

OBJAŚNIENIA

I SIELANKOWE POZORY RZECZY STRASZNYCH

Jest gdzieś trzecia rano. W celi więziennej płonie kaganek. W mroku leży spokojnie Sokrates wyciągnięty na tym samym tapczanie, na którym skonać miał za trzy dni i ma przyjemne sny.

Bez szelestu wsunął się Kriton, a nie chcąc budzić przyjaciela, usiadł u nóg tapczanu i czeka. Po chwili dopiero nawiązuje się rozmowa. Uśmiechnięta rezygnacja Sokratesa, kiedy o swojej starości mówi. Czas mu już i tak, więc nie ma czego żałować. W obronie z gorzkim wyrzutem zwracał sędziom uwagę na swój wiek: gdybyście byli poczekali trochę, byłbym wam i tak umarł.

Kiedy Kriton zwraca uwagę, że sam wiek późny nie zapewnia jeszcze równowagi ducha w nieszczęściu, Sokrates przyznaje mu słuszność i szybko zwraca rozmowę na inny temat. On także był człowiekiem i równowagę ducha pokazywał drugim; co się w nim samym działo, to należało tylko do niego samego.

Kriton wierzy w spokój Sokratesa; widać patrzy płytko. Wstępem zaczyna tak smutnym, że się So-

krates w tej chwili musiał domyśleć, z jaką przyszedł wiadomością.

II W tej chwili też uzbraja się filozof żartem: „szczęśliwej drogi“ i opowiada sen, który miał przed chwilą.

Sen psychologicznie zrozumiały. Piękna i biała kobieta zwraca się do niego z cytatem z Iljady.

W epopei homeryckiej mówi te słowa o sobie samym Achilles do Agamemnona, kiedy się z nim gniewa na śmierć i grozi mu odjazdem w rodzinne strony. Achillesem jest tedy w śnie tym sam Sokrates, Agamemnonem chyba Demos ateński, urodzajne skiby Ftyji, to wyspy szczęśliwych, o których Sokrates tak pięknie marzył w Obronie, a piękna i foremna niewiasta mogła być odpowiednikiem tej fizjologicznej błogości, którą sen-pocieszyciel dawał nad ranem skołatanej duszy filozofa po ciężkich godzinach dnia.

Achilles przyszedł Sokratesowi na myśl i w Obronie przed sądem jako ten, który wolał śmierć, niż upokorzenie. To samo czuje w sobie Sokrates i stąd te słowa z Iljady i sen.

Obaj przyjaciele nie na to zwracają uwagę, tylko na termin trzydniowy wyraźnie we śnie podany. Ftyję obaj jednako pojmują — o resztę im nie idzie.

III JEDYNA WARTOŚĆ, CZY WIĘCEJ? Kriton zaczyna rozmowę od szczerego, prostego słowa „zostań na świecie, bo mi ciebie szkoda“ i dodaje argument drugi, który go zaraz różni z Sokratesem: ludzie pomyślą, żem dla ciebie żałował pieniędzy. Sąd opinji nie obchodzi Sokratesa, zdanie tłumu nie jest kryterjum prawdy, ani dobra. Sokrates

stoi ponad mocą tłumu, bo nie przywiązuje wartości do dóbr, które tłum dać może i nie uważa za złe nieszczęść, które go mogą spotkać z ręki tłumu. Jedynem dobrem jest dla niego mądrość, a jedynem złem głupota. Obie wartości niezależne od sądów i wyroków pospólstwa.

Sokrates starał się stać na tym poziomie wysokim i odosobnionym, a jednak i on, widać to z Obrony, chciał żyć i było mu przykro, kiedy się jego sprawa chwiać zaczęła.

Zatem cenił życie i był przywiązany do dzieci i przyjaciół i cenił swą przewagę duchową nad otoczeniem, uznawał więc, oprócz mądrości i głupoty, także inne wartości dodatnie i ujemne, choć starał się wypracować w sobie zupełną obojętność na tych innych punktach.

Praca nad sobą powodziła mu się do pewnego stopnia; żeby mu się była udała w zupełności, na to musiałby był przestać być człowiekiem.

IV ARGUMENTY ZA UCIECZKĄ

Kriton nie chce się wdawać w dyskusję nad tem stanowiskiem nadludzkiem, a sięga do prostych, ludzkich względów, któreby mogły stanowić skrupuł dla Sokratesa; on ma dobre serce, nie chciałby narażać przyjaciół. Jeśli to nie jest wzgląd jedyny, to inne nie wchodzą w grę poważnie, bo straż przekupić łatwo, pieniądze są i jest wolna droga do Tesalji, gdzie i byt materjalny i powaga filozofa nie byłyby w żadnym sposobie narażone.

V

Pozostanie w więzieniu jest taktyką samobójczą, bezwzględnością wobec dzieci własnych, niemęskiem poddaniem się losowi na drodze najmniejszego

wysiłku, haniebnym objawem braku woli i energji ze strony otoczenia; czas nagli; działać trzeba natychmiast.

VI Kriton namawiając Sokratesa, opierał się na swojej starej znajomości z filozofem i odwoływał się widocznie do jego konsekwencji, jakgdyby mówił: wiem przecież doskonale, że ci na przyjaciołach zależy, wiem, że niemożliwości nie będziesz próbował, wiem, że chcesz żyć i być szanowanym, że kochasz dzieci, że nie lubisz chodzić drogą najmniejszego wysiłku, że potrafisz zwalczać przeszkody. Bądź więc konsekwentny i okaż się takim w tej chwili. Zostań tym samym, którym byłeś. Tymczasem Sokrates oświadcza, że mu właśnie o nic innego nie idzie, jak tylko o konsekwencję, o pozostanie sobą aż do końca. Zdaniem Kritona miała konsekwencja wyprowadzić filozofa z celi; zdaniem Sokratesa właśnie konsekwencja kopała mu grób na pojutrze.

SOKRATES ODSZUKUJE SIEBIE SAMEGO?

Obala tedy naprzód argumenty Kritona, oparte na względach opinji publicznej, ustalając na nowo swoją starą, piękną zasadę, że zważać należy jedynie tylko na opinje nielicznych ludzi myślących, a nie dbać o opinję szerokich kół.

VII Ten szlachetny arystokratyzm oceny należy zachować przedewszystkiem w zakresie dobra i piękna.

VIII Ślepe uleganie opinji publicznej deprawuje duszę, więc się go należy wystrzegać nawet z narażeniem życia. Życie nie jest najwyższą wartością, tylko dobre życie.

Kriton przyjmuje te zasady i mógł to zrobić

spokojnie, z nich przecież najprościej w jego oczach wynikało, że Sokrates powinien wyjść z więzienia. Powinien, bo choć szerokie koła nazwaćby mogły taki krok nielegalnym, to jednak mędrzec sam i jego przyjaciel, także nie ktobądź, tylko człowiek myślący i więc taki, na którego opinję wyłącznie zważać należy, uważałby to wyjście za czynną walkę z niesprawiedliwością Aten, a więc za czyn dobry. I byłaby ta ucieczka podjęta nie w interesie życia jakiegobądź, tylko w interesie życia dobrego, wzorowego.

IX

Sokrates przyrzeka kierować się zimną, nieubłaganą konsekwencją. Zobaczymy, czy zrobi tak naprawdę. Jeżeli się ucieczka okaże zbrodnią, zostanie i umrze w więzieniu; jeśli nie, to wyjdzie.

X

ZBRODNIA I ZAWÓD

Ustalają teraz obaj dwie zasady, które mają decydować o ich postępowaniu. Pierwsza ta, że zbrodni nigdy popełniać nie wolno, choćby szło o odwet na nieprzyjacielu. Druga, że zobowiązań należy dotrzymywać.

XI

Ucieczka z więzienia byłaby zbrodnią i złamaniem zobowiązania. Zbrodnią wobec państwa, bo lekceważenie wyroków zagraża zdrowiu i bytowi Aten.

Kriton zapomina, że lekceważenie trybunału również zagraża zdrowiu państwa, a Sokrates sąd lekceważył. A pogarda dla szerokich mas i podkopywanie powagi tradycyjnego ustroju społecznego także zagrażało bytowi demokratycznego państwa, a jednak Sokrates tłumem gardził jawnie i podkopywał powagę jego władzy. Czyżby sobie sam nie zdawał sprawy z tego, jak niebezpiecznym był opo-

zycjonistą? Czy też raczej Kritona olśnić usiłuje barwnym obrazem praw stojących nad głową i poruszyć uczucia społeczne przyjaciela; niech się on sam wzdrygnie przed nielegalnością projektu?

XII Sokrates w toku rozdziału unosi się. Czuć, że coś, czy kogoś gwałtownie zwalcza, choć mu Kriton teraz nie oponuje zgoła. Albo więc gniew jeszcze o pierwsze słowa przyjacielskiej namowy, o to, że mu perswazjami ciągłemi psują porządek duchowy, próbują ściągnąć na ziemię z wysokiego, a beznadziejnego stanowiska, albo raczej walka z czemś, co się w nim samym jego własnym słowom opiera i kładzie pod niemi gorzkie znaki pytania. Głośno i prędko mówi Sokrates hymn na cześć karności obywatelskiej, jakby nie chciał słyszeć szeptów ironji, która w nim tli, mimo wszystko, a odezwie się głośno w rozdziale następnym.

Sokrates mówi bardzo pięknie i podniośle. Prawa dotyczące życia rodzinnego są niby jego rodzicami i panami, którym wiele zawdzięcza; wobec tego powinien słuchać wszystkich praw. Zarządzeniom państwa poddawać się bezwzględnie, bo państwo jest jak matka lub ojciec.

STRUNY UKRYTE Gdyby się Sokrates nie unosił w tej chwili, mógłby mu Kriton był przypomnieć, że może zbyt różowo przedstawia swój stosunek do praw ateńskich. Nie miał wprawdzie żalu do prawa małżeńskiego, ale miał naprzykład wielki żal do prawa, które nakazywało sprawy gardłowe załatwiać w jednym jedynym dniu, jak o tem wyraźnie mówi w Obronie. Temu prawu przecież przypisuje fatalny

wyrok, który go spotkał. Ma niewątpliwie żal do tego prawa, które nakazywało losować sędziów na chybił trafił, zamiast ich szukać między ludźmi mądrymi i przygotowanymi do trudnego i odpowiedzialnego zawodu.

O tem przecież często mówił między ludźmi. Ma żal do całego ustroju demokratycznego, w którym rządzą owe „szerokie koła". On niemi gardzi przecież i nigdy ich nie czcił.

Jeżeli teraz prawa ateńskie przedstawia jako istoty bliskie mu, a świecące w aureoli półboskiej, to czyni to po części wbrew sobie samemu i dlatego mówi z takim głośnym zapałem. Sam siebie zagłusza, a hypnotyzuje Kritona.

On się obecnie przedstawia jako wdzięczne dziecko i niewolnik praw ateńskich, podczas gdy z Obrony jego wiemy, że się czuł mistrzem i z łaski bożej kontrolorem Aten raczej, niż niewolnikiem prawa i ustroju ateńskiego. W sądzie przecież stał także wobec prawowitej władzy, przed obliczem prawa, ale nie przemawiał do sądu, jak wdzięczny syn do ojca, lub matki. Kiedy widział, że sędziów przekonać nie potrafi, gromił ich i przepowiadał pomstę dziejową, to zupełnie inna pozycja duchowa, niż ją ma w tej chwili.

Inna rzecz, że on Ateny kochał i przyzwyczaił się do nich od dzieciństwa, zżył się z miastem i z ludźmi; tutaj miał wszystko, co mu było bliskie i drogie; mógł w nich umierać z niesprawiedliwego wyroku — nie umiał żyć poza niemi, jako wyjęty z pod prawa ojczystego. Sercem lgnął do miasta;

głową nie umiał się z niem pogodzić. Stąd mu tak źle było w tej chwili.

XIII Skorom siedmdziesiąt lat w Atenach przesiedział, mówi Sokrates i nie pojechał do kolonji, czy gdzieś indziej w obce strony, to mogłem się był spodziewać, co mnie spotkać może i dzisiaj się nie mogę kompromitować ucieczką z więzienia. Jeślim stosunki ateńskie uważał za nieznośne, mogłem był wyjechać; nie zrobiłem tego, muszę ponosić konsekwencje.

Ale on naprawdę g a n i ł stosunki w Atenach, a nie wyjechał, bo mu było żal za miastem. Proces był dla niego, mimo wszystko niespodzianką. Wpadł tedy w pułapkę, z której wyjścia broni mu teraz a m b i c j a.

Ten wyraz może wywołać nieporozumienie i protest w duszy czytelnika. Bo przez ambicję rozumie się często gonienie za zaszczytami, szukanie objawów czci ze strony otoczenia — coś bardzo pokrewnego próżności. Otóż w tem miejscu jest wyraz „ambicja" wzięty w znaczeniu szerszem. Oznacza potrzebę niezależności, równości, wyższości w stosunku nie tylko do drugich ludzi, ale przedewszystkiem do czynników znajdywanych we własnem wnętrzu, a nawet w stosunku do czynników nieosobowych, o ilę je człowiek personifikuje. Mowa potoczna używa na oznaczenie tych rodzajów ambicji zwrotów takich jak: poczucie godności własnej, szlachetna duma i t. p.

XIV Personifikowane prawa urągają Sokratesowi. Wbrew jego lepszej wiedzy, wmawiają weń, że mu

się podobały, a na świadectwo biorą jego przywiązanie do miejsca rodzinnego. To przecież gorzka ironja, którą Sokrates sam siebie smaga. Jemu się prawa ateńskie zgoła nie podobały; zawsze wyżej stawiał spartańskie lub kreteńskie, tylko był do Aten złych i głupich przywiązany więcej, niż do mądrej Sparty, lub Krety. Jego uparte siedzenie w mieście nadawało mu tylko pozory pogodzonego ze stosunkami i prawami obywatela. Pozory w oczach tych, którzy go bliżej nie znali. Czyżby się Sokrates liczył z pozorami i to z fałszywemi?! On, który tak deptał opinję publiczną w rozdziale VI i gdzie tylko miał po temu sposobność? Czyżby aż tak dalece był tylko człowiekiem, jak inni?

XV
A JEDNAK JEST TYLKO CZŁOWIEKIEM

Tak jest jednak. Zostaje w więzieniu, bo się nie chce ośmieszać publicznie. A przecież nie śmiałby się z niego Kriton, tylko chyba owe wzgardzone „szerokie koła". Zostanie w więzieniu, bo nie chce narażać przyjaciół na utratę tych dóbr doczesnych, które dla człowieka mądrego nie stanowią żadnej wartości; przecież konfiskata, wygnanie, czy utrata praw obywatelskich, to nie są, jego zdaniem, żadne wartości, to są dobra „szerokich kół" Mógłby więc śmiało narażać przyjaciół na ich utratę, gdyby chciał i mógł być naprawdę nieubłaganie konsekwentnym, jak to zamierzał zrazu. Ale w tej chwili on nie mówi z głowy, tylko z serca i poprostu tak, jak najgłębiej czuje.

Nie wyjdzie z więzienia, bo między ludźmi obcymi wyglądałby podejrzanie. Kriton nie powie-

dział na to, że z podełba patrzyłyby na Sokratesa po ucieczce tylko szerokie koła nieznających rzeczy, a ludzie mądrzy i znający sprawę, na których opinji najwięcej i jedynie zależeć filozofowi powinno, myśleliby, że się wszystko tak odbyło, jakby się odbyło naprawdę. Nie byłoby po ludzku wypominać Sokratesowi jego ulubione nadludzkie stanowisko teraz, kiedy w nim grają struny tak bardzo ludzkie.

Nie wyjdzie z więzienia, bo nie miałby czoła głosić kultu dla prawa, będąc zbiegiem z więzienia. Wyglądałby dwuznacznie. To prawda. Ale też mógł nie głosić kultu niesprawiedliwych wyroków i lichych praw. Nie byłby sobie może zdobył chwały tej, którą posiadł, ale i nie straciłby zbyt wiele, jak nie wiele stracił Protagoras, kiedy w podobnem położeniu uciekł z Aten do Sycylji. Musiał jednak Protagoras być mniej czuły od Sokratesa na to, co o nim mówią i jak na niego patrzą, na głos opinji szerokich kół.

Nie miał skrupułów na temat ucieczki z miasta, w którem mu śmierć groziła, Paweł z Tarsu; Piotrowi anioł rozkuwał kajdany; nie wstydził się Luter brody zapuszczać, kiedy się na Wartburgu „zataił" przed prześladowcami; żadnemu korona z głowy nie spadła. Każdy z nich uciekał przed niepotrzebną śmiercią, dokąd mógł, a ginął, kiedy nie mógł uciekać; inaczej postąpi Sokrates. On z więzienia nie wyjdzie.

Nie wyjdzie, boby go spotkać mogły upokorzenia na wygnaniu. Nie wyjdzie, bo nie umiałby chodzić bez apollinowego wieńca na głowie, ani po-

chylić głowy do ucieczki. To są pobudki szczere i proste. Ambicja go zatrzymywała w więzieniu, ambicja wobec siebie samego i wobec opinji publicznej. Żal za dziećmi ustępował na plan drugi; zostawiał synów pod opieką przyjaciół.

XVI

W duszy Sokratesa grają tak silnie pobudki przemawiające przeciw ucieczce, że nie znajduje niczego, coby przemawiało za nią. Z pewnem zadowoleniem stwierdza, że nie widzi żadnych motywów etycznych, ani religijnych za ucieczką. Nie widzi ich, bo ich skonstruować nie umiał, party najsilniejszą stroną swojej duszy do śmierci, która go miała uwieńczyć na zawsze.

I ZA GROBEM PORZĄDEK SPOŁECZNY!

Konstruował natomiast motywy etyczne i religijne przeciw wyjściu. Konstruuje i w tej chwili ten motyw ostatni, w którym się prawa z Hadesu podają za braci praw ateńskich. A przecież w Obronie mówił, że na tamtym świecie lepiej, bo tam sprawiedliwie sądzą i nie skazują na śmierć filozofów tak, jak się to robi w Atenach. Więc muszą tam być chyba jakieś inne, lepsze prawa i stosunki, a nie solidarne rodzeństwo praw i stosunków tutejszych. On jednak wytrwale zajmuje to stanowisko djalogu, że wszelkiego prawa i rozkazu władzy słuchać należy, wszystko jedno, co się sądzi o jego wartości. Stanowisko piękne, choć niesłuszne, w całej swej rozciągłości; Kriton nie znajduje przeciw niemu argumentów, ale stanowisko to da się w naturze Sokratesa pojąć tylko na tle tych pobudek szczerych i prostych, z których się filozof spowiadał w rozdziale poprzednim.

XVII
DUSZA ZMĘCZONA A TWARDA

Sokrates postępuje pod nieodpartym przymusem psychicznym. Sam wątpi, żeby do niego przystęp znalazły jakiekolwiek perswazje i prośby. Mówi, jak gdyby prosił, żeby mu dać spokój i pozwolić umrzeć tak, jak pragnął. Tem też zamyka usta przyjacielowi. Kriton rezygnuje z namowy. Tak, jak chciał Sokrates, tak go prowadził bóg. Nic dziwnego — ten bóg mieszkał w jego własnej piersi.





SPIS RZECZY

Str

EUTYFRON 1
WSTĘP 3
EUTYFRON CZYLI ROZMOWA O TEM CO ZBOŻNE 15
OBJAŚNIENIA 47
OBRONA SOKRATESA 63
WSTĘP 65
PRELUDJUM 81
OBRONA SOKRATESA 87
OBJAŚNIENIA 133
KRITON 149
WSTĘP 151
KRITON 158
OBJAŚNIENIA 183
SPIS RZECZY

20/ 65939

Akademia Lekarska w Gdańsku
Zakład Historii i Filozofii
Medycyny

nr. 83, Zakup. Sychta Anna, Kochanowo, 20.IV.
1946, zł. 400.

Biblioteka Główna
Akademii Medycznej w Gdańsku
065939
004-065939--000